

Oddatkosy



Nr 5 (309)
2. II 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: ● **Pajaki i ludzie** ● **Historia jazzu** ● **Punch o Olimpiadzie**
● **Nowe filmy Haza i Antonioniego** ● **Rola o jakiej marzę** ● **List z Wrocławia**
● **Karnawał 1886** ● **Recenzje** ● **Felietony** ● **Polonica**

Historia Giulia Romati

Jan Potocki



Nazywam się Giulio Romati. Mój ojciec, Pietro Romati, jest jednym z najznakomitszych prawników Palermo, a nawet całej Sycylii. Jak możecie domyślić się, mocno przywiązany jest do swego zawodu, który zabezpiecza mu przyzwoity byt, ale mocniej jeszcze do filozofii, której poświęca wszystkie chwile wolne od głównych zatrudnień.

Nie chwając się mogę wyznać, że śmiało postępowałem za nim w obu tych dziedzinach, gdyż w dwudziestym drugim roku życia byłem już doktorem prawa. Oddawałem się następnie matematyce i astronomii, wkrótce dość umiałem, aby

móc komentować Kopernika i Galileusza. Nie mówię wam tego w zamiarze chętności, ale z mojej uczoności, ale mając opowiedzieć wam zaskakującą przygodę, pragnę, abyście mnie nie uważali za człowieka łatwowiernego lub zabobonnego. Tak jestem daleki od podobnych błędów, że jedyną nauką, do której nic się nie przykładam, była teologia. Co się tyczy innych, zagłębiałem się w nich całą duszą, wytchnienia zaś szukałem tylko w zmianie przedmiotów. Ciągła praca wywarła zgubny wpływ na moje zdrowie i ojciec mój, przemysłiwając nad różnymi sposobami rozerwania mnie, zalecił

mi podróż i rozkazał, abym zwiedził całą Europę i dopiero po czterech latach wrócił do Sycylii.

Z początku z trudnością zdołałem oderwać się od moich książek, gabinetu i obserwatorium, ale ojciec zyczyl sobie tego, musiałem więc być posłusznym. W istocie, zaledwie rozpocząłem podróż, natychmiast doznałem niewypowiedzianie milej zmiany. Odzyskałem apetyt, siły, jednym słowem, zupełnie przyszedłem do zdrowia. Z początku podróżowałem w lektyce, ale trzeciego dnia najalem muła i wesoło puścilem się w dalszą drogę.

Wielu ludzi zna cały świat z wyjątkiem własnego kraju; nie chciałem narazić się na podobne zarzuty i w tym celu rozpocząłem podróż od zwiedzenia cudów, jakie natura tak hojnie rozsypała po naszej wyspie. Zamiast udeść się prosto nadbrzeżem z Palermo do Mesyny, obrałem drogę przez Castronuovo, Callanissetę i przybyłem do wioski, której nazwy już nie pamiętam, położonej u stóp Etny. Tam przygotowałem się do wejścia na górę i postanowiłem poświęcić miesiąc na tę wyprawę. W istocie cały ten czas przepędziłem na sprawdzaniu niektórych doświadczeń z barometrem, dotąd nie dość dokładnie wykonywanych. Podczas nocy wpatrywałem się w niebo i z niewypowiedzianym szczęściem odkryłem dwie gwiazdy, niedostrzeżalne z obserwatorium w Palermo, ponieważ znajdowały się znacznie pod jego widnokręgiem.

Z prawdziwym zalem opuścilem to miejsce, gdzie zdawało mi się, że uczestniczy jakby w szczytnej harmonii ciał niebieskich, nad których obrotami tyle zastanawiałem się w życiu. Wreszcie nie podobna zaprzeczyć, że rozrzedzone powietrze gór w szczególny sposób działa na nasz organizm, puls bowiem przedzej bije i poruszenia płuc są daleko szybsze. Na koniec zszedłem z góry od strony Katanii.

Miasteczko to zamieszkuje szlachta równie starożytna, ale więcej oświecona od panów z Palermo. Wprawdzie nauki ścisłe mało znajdują lubowników w Katanii, jak w ogóle na całej naszej wyspie; ale natomiast mieszkańcy gorliwie zajmują się sztukami, dawnymi zabytkami i historią wszystkich tudów, jakie zamieszkiwały Sycylię. Zwłaszcza poszukiwania i mnóstwo cennych pamiątek, jakie wykopano, były przedmiotem powszechnych rozmów.

Właśnie podówczas wydobyto z ziemi nader piękną płytę marmurową, pokrytą głoskami zupełnie nieznanymi. Obejrawszy ją pilnie, poznałem, że napis był w języku punickim, i za pomocą hebrajszczyzny, która dość dokładnie posiadam, zdołałem rozwiązać zagadkę w sposób zadowalający znawców. Czynn ten zjednał mi pochlebne przyjęcie i pierwsze osoby z miasta pragnęły mnie zatrzymać zapewniając mi znaczne korzyści pieniężne. Wszelako porzućwszy Palermo dla zupełnie innych celów, odrzuciłem ofiary i udałem się drogą do Mesyny. Przez tydzień zatrzymałem się w tym miejscu, sławnym przez swój handel, po czym przebyłem cieśninę i wylądowałem w Reggio.

Dotąd podróż moja była tylko rozrywką; w Reggio jednak przedsięwzięcie nabrało większej wagi. Rozbójnik nazwiskiem Zoto pustoszył Kalabrię, podczas gdy korsarze trypolitańscy zewsząd uwiłali się po morzu. Nie wiedziałem, jakim sposobem dostać się do Neapolu i gdyby fałszywy wstyd mnie nie zatrzymał, byłbym niezawodnie wrócił do Palermo.

Tydzień upływał od czasu, jak to niezdeterminowanie zatrzymywało mnie w Reggio, gdy pewnego wieczora, przechadzając się po porcie, usiadłem na nadbrzeżnych kamieniach, w miejscu, gdzie było najmniej ludzi. Tam zbliżył się do mnie jakiś człowiek ujmującej postaci, okryty szkarlatnym płaszczem. Nie pozdrowszywszy mnie wcale, usiadł i odezwał się w te słowa:

dalszy ciąg na str. 6

Temat dnia

Ogłoszono Dzień Włókniarza. O włókniarzu pisali i piszą poeci, powieściopisarze, publicyści. Piszą naukowcy. Piszą wspomnienia sami robotnicy. Słowo włókniarz stało się synonimem pięknych treści. Włókniarz to nie tylko człowiek określonego zawodu, ale także człowiek walczący. Historia Łodzi to historia włókniarzy. Przed wojną włókniarze walczyli o chleb i sprawiedliwość. Dzisiaj, w nie zawsze łatwych warunkach, często przy starych jeszcze maszynach — swoją pracą przyczyniają się do wzrostu ogólnego dobrobytu, do tego, że miasto pięknieje, że ich synowie studują w wyższych uczelniach, że powstają nowe szpitale i szkoły.

Dzień Włókniarza nawiązuje do tradycji rewolucyjnej. Pamiętamy te dni (które opisują uczestnicy strajków we WSPOMNIENIACH DZIAŁACZY KPP), kiedy nie rozlegało się wycie syren fabrycznych, kiedy milkiły one w małych i dużych fabrykach, kiedy każdego dnia o świcie tramwaje wyjeżdżały puste, a ulice były jak wymarłe, kiedy sklepiarkarce stali z założonymi rękami, a miasto ogarniała ogarnna cisza i z ulic robotniczych znikali szpicie i palcejanicy. Kiedy prosty robotnik, włókniarz, niosąc w zanadrzu ulotkę KPP występował w obronie godności człowieka.

W Polsce mamy około pół miliona włókniarzy. Zjazd, który odbył się w Łodzi przy końcu stycznia, obradował nad najważniejszymi sprawami włókniarzy, odzieżowców i pracowników przemysłu skórzanego. Przedstawiciele fabryk składali sprawozdania. Padły wielkie cyfry, wymieniano miliony złotych. Przemysł lekki zwielszył swą produkcję eksportową z 353 milionów złotych dewizowych w r. 1960 do pół miliarda złotych dewizowych w r. ub. Na każdą złotówkę, na każdy tysiąc złotych, na każde sto tysięcy, składa się praca nowoczesnego włókniarza i każdej włóknianki. Każdy nowy pomysł racjonalizatorski ułatwia tę pracę. 30 łódzkich zakładów pracy przystąpiło do różnych form współzawodnictwa. Poszczególne zakłady ubiegają się o tytuł najlepszego ekonorera i najbardziej oszczędnego, 35 klubów techniki i racjonalizacji w efekcie swoich usprawnień ma przynieść ogólnodarcę narodowej około 30 milionów złotych oszczędności. W całym kraju istnieje już 18 międzyzakładowych domów kultury w Łodzi 1 stycznia otworzony został z inicjatywą KL ZMS czwarty z kolei taki dom. W zakładowych szkołach włóknieniczych w Łodzi uczy się ponad trzy tysiące młodzieży.

Mówimy: racjonalizacja. Mówimy: postęp techniczny i oszczędność surowca. Mówimy: kształcenie nowych kadr. A myślą zwracamy się do tego robotnika, który wstaje rano o świcie, który zapelnia łódzkie tramwaje, który spieszy do fabryk, myślimy o włókniarce, która nie ma jeszcze słodkiego zucia myślimy o ludziach, którzy nie zawiedli w przeszłości i nie zawiodą dzisiaj bo od ich pracy zależy dzień jutrzejszy, jak od rewolucyjnego wczoraj zależało rewolucyjne dzisiaj.

odgłosy W świecie



Ekonomiści różnią się w ocenie inflacji. Pelzająca, kiedy ceny wznoszą się stosunkowo wolno. Galopująca, gdy krywa cen idzie ostro w górę. Przed inflacją galopującą ostrzegł w tych dniach Robert Marjolin, wiceprezydent Rady Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

Na ostatnim posiedzeniu

„parlamentu” Wspólnoty w Brukseli, Marjolin wygłosił znamienne przemówienie.

Wprawdzie zarobki w Niemczech zachodnich, Francji, Włoszech, Belgii, Holandii, Luksemburgu są teraz wyższe niż rok temu, ale nastąpił również duży ruch cen.

W latach 1959-1963 koszty produkcji wzrosły w Holan-

Londyński „The Observer” zamieszcza w numerze z 26 stycznia obszerny stenogram zeznań Roberta Mulka, głównego oskarżonego w procesie oświadczeniowym, a w przeszłości adiutanta samego komendanta Hoessa, drugiego więc w SS-owskiej hierarchii dostojnika obozowego.

Oto fragment tych ciekawych i typowych zeznań:

SEDZIA: Czy oskarżony może na planie obozu wskazać miejsce, gdzie stały szubienice?

MULKA: Szubienice? Nigdy ich nie widziałem!

SEDZIA: Czy oskarżony widział jak strażnicy strzelali do więźniów podchodzących zbyt blisko ogrodzenia?

MULKA: Nie przypominam sobie!

SEDZIA: Czy oskarżony słyszał o zabijaniu setek więźniów zastrzykami fenolu w serce?

MULKA: Nie.

SEDZIA: Czymże więc, według oskarżonego był ten obóz?

MULKA: Miejscem reedukacji.

SEDZIA: A czy wiedział pan, panie Mulka, że na listach więźniów przybywających do obozu czyniono znaki — czarne krzyżki?

MULKA: Ten szczegół pamiętam.

SEDZIA: Co oznaczały te krzyżki?

MULKA: (milczy)

SEDZIA: Przypomnę oskarżonemu: „Rückkehr unerwünscht”? Czy tak?

MULKA: (milczy)

SEDZIA: Czy oskarżony wiedział, że w obozie znajdowały się komory gazowe?

MULKA: (milczy)

SEDZIA: Proszę powiedzieć, co oznaczało pojęcie — Sonderbehandlung?

MULKA: (wybucha po dłu-

gim młeczeniu) To było objęte tajemnicą państwową! Ale ja zawsze uważałem, że to zbrodnia!

SEDZIA: Mówi pan o komorach gazowych, tak? A czy wiedział pan, że posyła się do nich wszystkie dzieci poniżej 16 roku życia. I że to właśnie nazywano — „Sonderbehandlung”?

MULKA: Nigdy nie widziałem dzieci w obozie.

SEDZIA: Wróćmy jednak do sprawy komór gazowych. Jak oskarżony tłumaczył sobie ich istnienie?

MULKA: (po długim namyśle) Wiedziałem, że są czynione wysiłki by uwolnić Rzeszę od Żydów i elementów niepożądanych.

I tak dalej i tak dalej! Mulka zeznał z wolnej stopy, proces tonie w nudzie misternej prawniczej aranżacji. W pismach zachodniemiemieckich udziela się mu coraz mniej uwagi.

notatki na marginesie

SIR ALEC

Sir Alec Douglas Home, premier Wielkiej Brytanii rozpoczął już kampanię przedwyborczą.

W Birmingham oświadczył: — Myślę, że minister Wilson jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Zyczę mu wobec tego długiej i nieprzerwanej kariery w charakterze lidera opozycji.

„ES STIMMT”

Dean Acheson amerykański sekretarz stanu w latach 1949-1953 opublikował kobylasty artykuł w „New York Times”. Acheson pisze:

— Niemcy zawsze popierały i popierają każdą amerykańską inicjatywę. Decyzje podejmowane przez Niemcy są niezmiernie ważne, być może, rozstrzygające. Inne państwa europejskie nie reagują tak otwarcie i jasno, decyzje tych państw są daleko mniej ważne. Niemcy stanęły na czele wszystkich krajów Europy w dziele umacniania siły militarnej NATO...

ROSYJSKIE

W zeszłym roku Anglia sprowadziła ze Związku Radzieckiego 1.223 „Moskwicze” i 1.882 „Wolgi”.

Arthur Compton, dyrektor firmy, która ma koncesję na sprzedaż radzieckich wozów w Anglii, zauważył:

— Jestem zadowolony, interes rozwija się dobrze. Codziennie zgłaszają się do mnie klienci, pytając o rosyjskie samochody.

KANDYDACY

Główni kandydaci na stanowisko prezydenta USA z ramienia partii republikańskiej: Rockefeller — kontroluje „Standard Oil Company”, jego majątek sięga 200 milionów dolarów. Goldwater — sprzedał ostatnio 57.552 akcje po 57 dolarów każda. Ma 2 500 000 dolarów żywej gotówki.

Scranton — otrzymał niedawno od swej matki 10 milionów dolarów.

Romney — multimilioner, posiada 102 305 akcji „American Motors”.

„ZONIANS”

Wypowiedź znanego publicysty amerykańskiego C. L. Sulzbergera:

— W odniesieniu do innych państw Stany Zjednoczone są bardzo antykolonialne, chociaż same wcale nie mają czystych rąk pod tym względem. Mieszkańcy strefy kanalowej w Panamie, tak zwani „Zonians” zachowują się tak samo arogancko i wyniośle jak niedawny Angley i Francuzi w swych koloniach.

CICERO, OCH CICERO

W Chicgo datkiem przedmieściu Chicago mieszka 58 000 białych i czarnych Murzynów.

Nowy szeryf okręgu Cook B. Ogilvie postanowił oczyścić Chicgo z elementów przestępczych. Akcja trwała dwie noce, prowadzona była przy pomocy tomów, którym wylamywane okute stała drzwi do spelunek. Aresztowano 12 mężczyzn i 3 kobiety.

B. Ogilvie poskarżył się: — Akcja nie powiodła się, gdyż z policji okręgu nie współpracował szef policji dzielnicowej J. Konowsky. Gdzieś się zawieszono przez te dwie noce...

J. Konowsky odpowiedział z godnością:

— To nieprawda, w naszej dzielnicy nie kwitnie ani przestępstwo ani hazard.

W Chicgo mieszka się główna kwatery Al Capone, potem jego następców.

LIST

List czytelnika do wydawcy „New York Times”:

— Piszę, że „mentalność kolonialna” to cecha obywateli amerykańskich żyjących w strefie Kanału Panamskiego. Tymczasem „mentalność kolonialna” a ściślej „mentalność rasy panów” („master race mentality”) są dotknięci wszyscy obywatele amerykańscy, którzy znajdują się w naszych bazach wojskowych za granicą.

AMERYKI

Z Kanału Panamskiego Stany Zjednoczone uzyskały dochód 2,3 miliarda dolarów, 0,88 proc. tej sumy wypłacił rządowi Panamskiemu.

W strefie kanału przebywa 10 tys. Amerykanów, z których każdy zarabia 6 razy więcej niż przeciętny Panamczyk.



Wszyscy staramy się kogoś naśladować...

Znana dziennikarka amerykańska Marguerite Higgins pisze o stosunku prezydenta Johnsona do ostatnich francuskich podległych dyplomatycznych i uznania Chin Ludowych.

„Wszystkie członkowie gabinetu Johnsona wpadają w ścieśnienie na samą wzmiankę o akcji de Gaulle'a. Jedynie prezydent Johnson raz jeszcze okazuje swą polityczną trzeźwość i powściągliwość.

Uważam de Gaulle'a za wybitnego polityka, z którego poglądami często się nie zgadzam — powiedział niedawno Johnson. — Będziemy jednak starali się by te różnice z upływem czasu znikły. Obecnie, oczywiście, wyjaśnimy prezydentowi Francji nasz punkt widzenia, a pomostowanie i składanie drastycznych oświadczeń wydaje nam się pozbawione sensu: słowa w niczym nie

Po tragicznej śmierci prezydenta Kennedy'ego w świecie politycznym Zachodu nastąpiły istotne przegrupowania. Mężem stanu nr 1 stał się Karol de Gaulle, który spadek międzynarodowego autorytetu Ameryki zaczął energicznie dyskutować na rzecz Francji i od razu przystąpił do wielu ofensyw dyplomatycznych.

Uznanie przez Francję Chińskiej Republiki Ludowej, nawiązanie stosunków handlowych (misje) i podjęcie wymiany kulturalnej jest ciężkim ciosem dla pozycji Ameryki na Dalekim Wschodzie. Zresztą co do intencji de Gaulle'a nie ma wątpliwości. „Wielki Karol” marzy o odzyskaniu wpływów na obszarach dawnego francuskiego imperium kolonialnego. W

tym samym kierunku zmierza ją poczynaania francuskiej dyplomacji w Kambodży, pld. Wietnamie i Laosie.

Z kłopotami amerykańskimi w Ameryce Iberyjskiej (ostatnio w Panamie) niedwuznacznie łączy się zamierzona podróż dyplomatyczna de Gaulle'a do Meksyku. Należy pamiętać, że Meksyk to również teren tradycyjnej ekspansji francuskiej.

Na wszystkich tych obszarach de Gaulle przeciwstawia amerykańskiej prymitywnej militarnej polityce awantur wojennych, — elastyczną, dalekowzroczną, bardziej przyzwoitą do istniejącej sytuacji, taktykę finansowej penetracji. Jest to oczywiście uosobienie, ale zawsze ta sama w treści polityka neokolonializmu.



Arcybiskup Makarios udzielił zachodniemieckiemu tygodnikowi „Spiegel” wywiadu na temat kryzysu cypryjskiego; oto parę charakterystycznych myśli prezydenta Cypru:

„Nie pojechałem do Londynu na trójstronną konferencję w sprawie Cypru, ponieważ nie chcę pertraktować pod naciskiem znanych tragicznych wypadków — a także i grób. Od początku niepodległości Cypru byliśmy w trudnej sytuacji ponieważ trójstronny brytyjsko-grecko-turecki układ został tak pomyślany, by wzmoć tyłko antagonizm między ludźmi noszący grecką a turecką.

Sytuację zaostrza jeszcze stałe niebezpieczeństwo interwencji tureckiej. Wydałem mi się, że jedynym wyjściem w chwili obecnej byłoby oddalenie wyspy przez oddziały Narodów Zjednoczonych i wycofanie wojsk brytyjskich. Dałoby to nam poczucie zwiększonego bezpieczeństwa”.

Spokojnie, leżące na uboczu miasteczko Westham w południowej Anglii przeżyło nie byle jaki wstrząs: wleblebny ojciec Harold Coulthurst proboszcz tutejszej parafii, spozstrzegł któregoś ranka w miejscowym XI-wiecznym

kościółku liczne ślady nocnej orgii. Policja wdrożyła natychmiast śledztwo, a stroskarszanie się wypadki bezczeszczenia grobów. Wkrótce po wypadkach w Westham, w innej miejscowości — Clonhill — w hrabstwie Bedfordshire — otworzono w nocy grobowce, a szkielety zmarłych przed laty kobiet zawieszono do miejscowego kościółka, gdzie również odbyła się tzw. „czarna msza” podczas której, jak wiadomo na ołtarzu leży naga kobieta,

zmienia istniejącego stanu rzeczy...“

Tyle sam prezydent Johnson: co jednak wynika z jego tak sformułowanych poglądów? Czy dowodzą one, iż w Białym Domu przygotowuje się jakaś zmiana w kierunku urealnienia polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych? W otoczeniu sekretarza Stanu Ruska mówi się że:

■ Nie będzie zmiany w trak-

owaniu sprawy Chin przez Stany Zjednoczone.

■ Prezydent Johnson nie spotyka się z de Gaulle'em jak to poinformowała strona francuska — na Martynice, podczas podróży generała do Meksyku.

Różnice poglądów między Waszyngtonem a Paryżem tak się zwiększyły, iż Johnson nie widzi żadnej szansy na powodzenie takich rozmów.

Cały problem stał się już i zagadaniem prawnym. W parlamencie sekretarz stanu złożył oświadczenie, iż uprawianie czarów i czarnej magii, a w szczególności orgii „czarnej mszy” należy rozpatrywać jako obrazę moralności publicznej. A laburystowski New Statesman z satysfakcją oznajmił, że w Anglii obserwuje się wprawdzie nasilenie tego rodzaju ekscesów, lecz tylko w rejonach wpływów partii konserwatywnej.

OPINIE W 100 SŁOWACH

O REKORDZIE PLASTYCZNYM m ó w i:

„Na nadmiar klientów, niestety, nie narzekamy nigdy. Mamy do zaoferowania rzeczy naprawdę piękne, ale bardzo drogie. Ceramika ścienna, korale, lampy, abażury, — to wszystko są przecież rzeczy niepowtarzalne, oryginalne, kosztujące plastyka wiele pracy i siły rzeczy muszą być droższe. Z prawej strony mamy sklep państwowy z ceramiką i porcelaną fa-

bryczną — o wiele tańszą od naszych wytworów. Z lewej strony jest „Kamea” zarzucona fabryczna, tania i zresztą wcale niebrzydka biżuteria. Trudno w takim towarzystwie osiągnąć wysokie obroty handlowe i właściwie nasilenia zakupów u nas poza okresem przedświątecznym nie obserwujemy. Ale myślę, że kiermasz plastyków w takim miasteczku jak Łódź jest potrzebny i przecież mamy choć nie tak liczne grono stałych klientów. Poszukiwane są ozdoby — brosze, wisłorki — srebrne, lecz niestety od dłuższego czasu plastycy ich nie robią. Niektórzy artyści pracują zresztą dla nas tylko wtedy, kiedy nie mają nic lepszego do roboty — wykonują np. serie jakichś pięknych przedmiotów, które zdobywają powodzenie... i na tym koniec. Plastik znajduje gdzieś inną pracę, a klienci irytują się na nas”.

O RATOWANIU ZABYTKÓW W CZASIE OKUPACJI m ó w i:

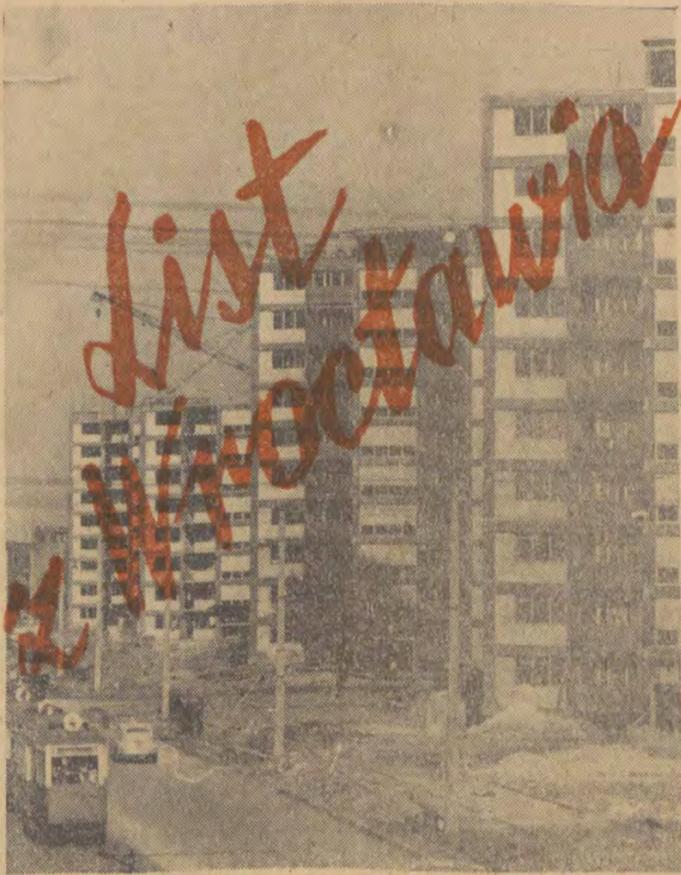
MAURYCZ KLIMECKI — działacz kulturalny z Łowicza

„Pyta Pan, jak się uchowały w czasie wojny te zabytkowe ornamenty w sali obrad Ratusza? Ponieważ są tu i orły i podobizny wielkich Polaków, hitlerowcy oczywiście kazali nam je zniszczyć. Ale my, po prostu, zakleiliśmy je tapetami, zarzuciliśmy gipsem i zamalowaliśmy. Tylko trzy osoby znały prawdę. Ciekawsza historia była z barokową kaplicą św. Karola Boromeusza, która chciało zburzyć na skutek jakichś planów przebudowy ulicy. Wyszperaliśmy wówczas pracę doktorską na temat malowideł kaplicy — dzieła włoskich mistrzów baroku, dokonaliśmy skrótu, przetłumaczyliśmy na niemiecki i daliśmy tytuł: „Ślady kultury włoskiej na Wschodzie”. Sprawa zawędrowała aż do Warszawy i Niemcy doszli do wniosku, że nie wypada niszczyć śladów kultury sojusznika”.

O SYLWESTRZE ZA GRANICĄ m ó w i:

KIEROWNIK ŁÓDZKIEGO SPORTS-TOURISTU

„W tym roku organizowaliśmy wyieczki na bale sylwestrowe do Budapesztu, Berlina i Pragi. W sumie wyjechało około 30 łodzian. Niewiele to — zapewne, ale taka przyjemność kosztuje 2000 zł plus wymiana dewiz i pozwolić sobie na nią mogą lepiej zarabiający lekarze, inżynierowie, adwokaci... Na okrasie mieliśmy jedną parę małżeńską rencistów. A w ogóle obserwujemy, że na bale sylwestrowe za granicę wyjeżdżają przeważnie małżeństwa i to wcale nieliczne. Największym powodzeniem cieszył się i cieszy, oczywiście Budapeszt. Być może dlatego, że Węgry zapraszają z reguły Polaków po skończonym balu do swoich domów, gdzie zabawa trwa dalej. Ja osobiście zaproszony byłem przez pewnego inżyniera-hutnika, u którego w domu bawiliśmy się cały następnego dnia”.



dzieci komendantów wojenni, którzy stopniowo przekazywali nam władzę. Nie pamiętam, abym w tym okresie przespał jedną noc spokojnie. Od zapadnięcia zmierzchu aż do świtu słychać było w mieście strzały, krzyki, wołania o ratunek. Trzeba było walczyć z gwałtami, rabunkami, z szabrem, który bardzo bujnie rozkwitał — istniał przecież nawet szabber-platz, gdzie prowadzono handel wymienny. Przez trzy tygodnie wybuchaly ciągle nowe pożary, rozniecane przez członków b. Hitlerjugend. Sama biblioteka uniwersytecka płonęła trzy razy. Za każdym razem naukowcy z poświęceniem gasili pożary. A nie było to łatwe. Wystarczy powieździeć, że wodę do gaszenia pożaru na Biskupinie musieliśmy wozić aż z Zalesia. Wszystko trzeba było organizować od początku. A więc najpierw zbieranie rozrzuconych w różnych domach żywności, która stanowiła majątek b. twierdzy. Odgruzowywanie i porządkowanie ulic — prace te wykonywali zamknięci w obozie członkowie NSDAP. Uruchamianie gazowni, elektrowni i wodociągów miejskich. Trzeba tu dodać, że zatrudnieni dawniej w tych instytucjach Niemcy zgłaszali się na apel zarządu miasta i przystępowali do pracy. Ale już w czerwcu i lipcu masowo osiedlali się we Wrocławiu Polacy, z których wielu przyjeżdżało z obozów w pobliskim Buchenwaldzie. Pierwszy tramwaj — „1” — który wyruszył na trasę z Biskupina na Dworzec Nadodrze stał się wielką sensacją, biegly za nim nie tylko tłumy dzieci, ale i dorośli.

Jesień 1945 roku to początek masowych wyjazdów Niemców. Na ich miejsce przyjeżdżała z różnych zakątków kraju ludność polska. Cagle jednak wyczuwano się atmosferę niepewności, tymczasowości. Stabilizacja życia we Wrocławiu datuje się chyba dopiero od Wystawy Ziemi Odzyskanych w 1948 roku. A w roku 1955-56 ruszyła i nabrała wielkiego rozmachu budowa nowego Wrocławia — kończy p. Jan Koch. Budowa ruszyła i nabrała wielkiego rozmachu. Mieszkańcy nowych zbudowanych w tamtym czasie dzielnic, niezbyt ładnych Krzyków i Grabiszynka zapomnieli już chyba o najwcześniejszym, pionierskim okresie. Krzywdzą sobie, narzekają, i zazdroszczą tym, którzy teraz wprowadzają się do mieszkań w nowych, supernowoczesnych blokach i punktowcach. Takimi właśnie domami zarastają we Wrocławiu wojenne bliźny. Wrocław zmienia się z miesiąca na miesiąc. I z miesiąca na miesiąc coraz mocniej osiadają w nim tysiące ludzi, którzy przed laty niepewni

swoich losów „wstąpił tu na chwilę”. Pasjonującą na pewno lekturą byłoby studium adaptacji tych ludzi w warunkach wrocławskich, studium zrastania się mieszkań z miastem.

Jakaś miara tych związków są zapewne patriotyzmy lokalne. Atmosfera ich jest moim zdaniem mocno podobna do łódzkiej. Bo wrocławianie tak samo jak my „mają za złe” stolicy, że zabiera im co wybitniejszych ludzi sztuki — pisarzy, muzyków, aktorów — tu wliczając rzeczywiście imponującą długą listę nazwisk. Pocięmy się, łodzianie, że wrocławskich artystów zabiera nie tylko stolica, ale i Łódź...

Na pociechę zaś Wrocławowi zostaje młode pokolenie, szczególnie chyba liczne i silne w środowisku pisarskim. W ubiegłym roku ukazało się wiele książek wrocławskich młodych pisarzy, wiele debiutów, z których najwybitniejszym wydaje się być tom wierszy Urszuli Kozioł.

Może prawem kontrastu imponują łodzianinowi niektóre rozdziały życia kulturalnego, u nas podobne do wątych i wędnych roślinek — we Wrocławiu rozkwitające. Jednym z takich rozdziałów jest na pewno akcja popularyzacji sztuki. Odczyty i spotkania autorskie cieszą się naprawdę wielką popularnością i wciąż nowe instytucje organizują nowe akcje i cykle. Największym uznaniem wrocławian cieszy się ostatnio zorganizowany przez księgarnię „Pod Arkadami” cykl spotkań z pisarzami miejscowymi i mieszkającymi poza Wrocławiem, z redaktorami polskich wydawnictw, którzy omawiają najciekawsze nowości książkowe. Duże nadzieje wiąże się z nowo powstałym klubem dyskusyjnym przy Związku Literatów Polskich, który jest czymś w rodzaju Koła Młodych Pisarzy.

Podziwiać i zazdrościć. Zazdrościć zresztą można Wrocławowi wielu rzeczy — licznych kawiarni, z których każda prawie ma swoją własną atmosferę i nastrój, przy których błędna wspaniałość nazwy „Egzotyecznych” i „Teinek”... Zazdrościć wielkiej jak na nasze warunki liczby eleganckich hoteli, kina — „Gigant”, zazdrościć tempa w jakim nowości filmowe omijają nasze „Bałtyki” i „Polonie” trafiają do kin wrocławskich...

No, i gratulować by trzeba Wrocławowi imponującego rozwoju budownictwa zmieniającego oblicze miasta z dnia na dzień i, oczywiście, ciepłego, życziwego zainteresowania mieszkańców Wrocławia wszystkimi nowościami, zainteresowania tym, co może Wrocław awansować do rzędu najpiękniejszych miast w Polsce.

MAREK WAWRZKIEWICZ



ŁÓDZKIE POZARY

Pierwszy oddział straży ogniowej ochotniczej w Łodzi wzywany był w ciągu roku ubiegłego (1911) do 408 pożarów głównie w fabrykach.

UDOSKONALIĆ „DAWANIE W SKÓRĘ”...

Pierwszorządne zakłady naukowe w Anglii zaopatrzone ostatnio w różgi mechaniczne, które można nastawić na słabsze lub silniejsze bicia uczniów, stosownie od stopnia przewinięcia. Podczas kary — fonograf straszliwym głosem wygłasza naukę moralną lub urywki z Biblii w celu poprawienia młodzieży, a jednocześnie zagłusza krzyki. Możeby tak i w Królestwie Polskim ten wynalazek zastosować?..

W CARSTWIE ROSYJSKIM

Minister komunikacji Ruchlow wydał okólnik ażeby wszyscy studenci salutowali wszystkich inżynierów, przed ministrem zaś i generałami inżynierii ażeby stawali frontem. Instytucje dróg i komunikacji podporządkowują się temu okólnikowi.

Z OGŁOSZEŃ „DROBNYCH”:

Chłopiec 17-letni do oddania na własność. Zawadzka nr 4. Wiadomość u stróża.

BYŁA TRUPA ZELWEROWICZA

występuje w Zgierzu. Wczoraj w sali Tow. „Lutnia” grono artystów z tej trupy odegrało z powodzeniem „Miloski” — sztukę w 3 aktach A. Schnicera. Główną rolę sztuki wykonała p. Czechowska.

Papier gazetowy miękki (ze zwrotów) na pudy i funty do sprzedania. Wiadomość w kantorze „Kurjera”, ul. Zaobudnia 37.

A. a. a. a. a. Która z pań chce mieć dobrą banę, gospodynię, kucharkę, młodszą panią, ze świadectwami rekomendowaną. Proszę się zgłosić do kantoru służby i ban Apolonii F., ul. Piłkowska 10.

(„Nowy Kurjer Łódzki” — I kwartał 1912 r.).

NA WODNYM RYNKU przechodnie ujrzeli leżącego młodego człowieka wiążącego się w bólech. 19-letni L. Trasiński, ul. Nowa 42 napił się w celu samobójczym esencji olejowej. Przyczyną desperackiego kroku był brak od dłuższego czasu pracy.

O miejsce dla MŁODYCH LITERATÓW!

Wydawcy starannie unikają wszelkiego ryzyka i wydają utwory tylko starych i znanych pisarzy! Nasze czołowe wydawnictwa zasympają Polskę przekładami książek (np. „Rój”) albo trzymają się dzieł z ustalonym powodzeniem — to Tow. Wyd. Mortkowiec. Tak było w roku pańskim 1929. Tak będzie i w roku bieżącym.

TEATRY ŁÓDZKIE

MIEJSKI — Premiera tragedii romantycznej „Mazepa” w 5 aktach Słowackiego, a następnie jutro „Król Bawelny” — po cenach najniższych sensacyjna sztuka A. Szebberga, której tem jest akcja w Łodzi.

POPULARNY — Dwa razy wodevil Siołca „Za dawnych dobrych czasów”, udział biorą: Relewicz-Ziembinska, M. i A. Zabeżyński, Bronowska, Górecki, Piętański, Tatarski, Tarlakowicz i Woźnik. Od wioru tenże arcywesoły „Pan naczelnik, to ja!”

MEMORIAL DO MINISTRA PRYSTORA

w sprawie zapomóg dla bezrobotnych, którzy nie otrzymują żadnych zasiłków z Funduszy Bezrobocia został opracowany przez komisję związków zawodowych. Specjalna delegacja wyjechała do Warszawy.

BEZROBOTNE DZIEWCZĘ...

Jest to film milionowy, który od szeregu miesięcy entuzjazmuje całą Europę. Główną rolę gra i krentje największa tragiczka świata Ewelina Holt. Jako następny program w Grand-Klinie.

(„Republika” — I kwartał 1930 r.). (ZETKO)

DRUGA AMERYKA

W swoim przemówieniu w ubiegłym tygodniu prezydent Johnson oświadczył:

„Rząd wypowiada dziś ostateczną wojnę nędzy w Ameryce. Naród, najbogatszy w świecie, ma dostateczne środki, by tę wojnę wygrać, i nie można sobie pozwolić na to, by ponieść klęskę”. I prezydent ogłosił, że przewiduje budżet na nauczanie, lecznictwo społeczne, zasiłki dla ubogich i inwalidów.

Komentując tę deklarację prezydenta, Walter Lippmann odczytał swych czytelników do książki M. Mitchel Harringtona, mówiącej o nędzy w USA („The Other America”).

Szukając źródeł i „wysepek” nędzy, posród amerykańskiego dobrobytu, M. M. Harrington odkrył równorzędnie istniejący świat, niezauważony przez tych, którzy nie są skazani na egzystencję nędzy i nazwał go „drugą Ameryką”. Ta druga Ameryka, to nie setki ani tysiące pariasów, lecz 40-50 milionów ludzi, a więc niemal czwartą część ludności Stanów Zjednoczonych. To świat niewykwalifikowanych robotników, sezonowych robotników rolnych, starców, mniejszości narodowych, i żyjących poza nawiasem społecznym bezrobotnych — włościan. Mimo ich liczebności są oni niewidoczni i niedostrzegani. Latwiej ich znaleźć w statystykach w postaci kolumn cyfr, niż zetknąć się z nimi w życiu.

Dlatego tak się dzieje? Przyczyn jest wiele. Na wsi nędza jest oddalona od głównych szlaków i autostrad, w zapadłych wioskach do których nie zagląda turysta ani automobilista. W miastach rozkwit dzielnic willowych i osiedli podmiejskich, sprzyja odizolowaniu dzielnic nędzy, gnieźdzących się w środku miasta. Dawniej dzielnicę zamożną, graniczyły z dzielnicami ubogich, dziś w zamkniętych sa-

mochodach zamożni przemierzają do swoich podmiejskich rezydencji pełnych słońca i powietrza, a główne drogi wylotowe z miasta wiodą przez dzielnice nowych bloków mieszkalnych. Do starych, brudnych ruder ukrytych na uboczu, nikt nie trafia. Bównież ubranie czyni nędzę niewidoczną. W Ameryce bowiem, ludzie biedni ubrają się lepiej niż gdziekolwiek w świecie. Zarówno dlatego, że konfekcja jest tam wyjątkowo tania, jak i dlatego, że ludzie chcą za wszelką cenę ukryć swą nędzę. Jest o wiele łatwiej w Stanach Zjednoczonych być porządnie ubranym, niż dobrze mieszkać i odżywiać się. Są setki tysięcy Amerykanów w wielkich miastach, ubranych niemal elegancko, którzy cierpią głód.

Tak więc nędza jest niewidoczna także i politycznie. Jej liczebna przeważność jest wielka, i gdyby głosowali mieliby ogromną większość i politycy musiłby się nimi zająć.

Lecz dzisiejsi obywatele — drugiej Ameryki, to przeważnie robotnicy nie zrzeczeni w żadnym Związku, a więc pozbawieni wszelkiej ochrony. Poza tym Murzyni, Portorykańczycy, Mołczy kančycy, starcy itd. Tak więc są oni bez oblicza, bez głosu. Drugi paradoks w historii Ameryki to ten, że ci najbardziej, jako niebezpieczni pozbawieni są wszelkich zasiłków. Też legion błędaków niezorganizowanych, być może zbyt prymitywnych, by walczyć o swoje prawa stoi poza nawiasem społeczeństwa; zapomniani i niedostrzegani przez nikogo, zrezygnowani i beznadzi.

Teraz już ani władze lokalne, ani instytucje charytatywne nie są w stanie rozwiązać tego problemu. Jedyną instytucją zdolną zarządzić nędzą w USA, oświadcza M. Harrington, kończąc swą książkę, jest rząd federalny. Tylko Waszyngton może znaleźć fundusze i inicjatywę potrzebne do zorganizowania akcji na wielką skalę, by zwalczyć nędzę „drugiej Ameryki”. Ale budżet Stanów Zjednoczonych jest wciąż zbyt napięty, zbyt wiele środków pochłania wciąż zbrojenie. Czy więc prezydent Johnson będzie mógł zrealizować swe zapowiedzi?

Opł. IRENA ZUCHOWICZ





Na wzgórzu stoi młyn. W województwie łódzkim są 153 młyny. W niektórych przycupnęli ludzie — pajaki. Bieda ci czele, jeśliś wpadł w sieć rozpętana po młyńskich zakątkach. Czy ktoś w nią wpadał? Owszem, chłopci wpadali. Zwyczaj każe, aby chłop spożywał chleb powstędną z własnego ziarna.

Rolnik brał wór żyta na plecy, niósł z wozu do młyna. Nim zdążył westchnąć, chytry młynarz na etapie nabijał go po trzykroć w butelkę.

Raz na wadze przy ziarnie, drugi raz na wadze przy mące, tertio na tak zwanej wilgotności, którą zwiększano dyskretnie o 0,3 procent. Tylko tyle. Nigdy więcej. To zabieg wymagający naukowej precyzji. Ułamek procentu, niby drobnotka, ale przy obrobach, sięgających setek tysięcy ton mąki, z kilogramów rosły hałdy nadwyżek.

Kanty można więc było robić na wadze, wilgotności, otrębach, procentach, można je było także robić na rozkurzu. Jeszcze jak.

Za młynarzem sam czar nie trafi, kto ma młynarza w rodzinie, temu bieda nie dobiedzie.

Młynarze na etapie żyli z werwą, fantazją, dzień w którym nie zlowi-

li nowego tysiączka do kolekcji, uważali za dzień siracony.

Choź, pokażę ci jeszcze, gdzie siedział pajak najbardziej zachlanny. Ten siedział nie w młyńcu, nie w „terencie”, a w gabinecie, za kotarą, w mieście Łodzi. Sąd kierował sprawami młyńskimi. Przyjmował podwładnych z terenu godnie i dostojnie, jak ten turecki basza o trzech buńczukach. Lennicy przybywali z haraczem, boss zgarniał do kabzy, co było jego dolą, dając w zamian błogosławieństwo na drogę.

Banda operowała z przemysłowcem, inwencją, a jednak powinęła jej się noga. Kilkudziesięciu złodziei poszło na długie lata do mamra. Mieli kamień młyński pod sobą, teraz go mają na głowie. W przymusu wym trybie wysłano też na zieloną łąkę 60 procent załogi młynów gospodarczych. Istne trzęsienie ziemi.

Taki był koniec jednej afery i początek drugiej.

Skończył się bal młynarzy, zaczął się bal „nasienników”. Albośmy to gorsi? — mrugnęli do siebie goście z branży nasiennej.

Kto zetknął się ze wsią, zna wartość roślin młyńskich. Nasiona białej koniżyny. Te nasiona babcię w Sieradzu i Łowiczu sprzedają w szklankach, ba niemal w naparkach. Takie są cenne te nasiona. No cóż, 6 kilogramów tych nasion starczy do obsłania hektara ziemi. I koniżyny wciąż mało, nie można nadażyć z produkcją.

„Centrala Nasienna” usiłuje zwiększyć ilość nasion koniżyny drogą kontraktacji.

Sam odbiór nasion od producenta odbywał się w tak zwanych punktach skupu. Plantator spłykał tam często ponurego jegomościa, który ważył nasiona w ręku wchał je, przebiegał, w końcu jegomość powiadał:

— Diabli z takimi nasionami, pełno w nich szcawiu i kaniarki. To szmele nie nasiona, właściwie powinienem odrzucić całą partię, ale jestem gotów panu pomóc. Odliczmy kilka procent na zanieczyszczenia, no jak, zgoda?

Producent bronił się jak mógł, wreszcie zrezygnowany, kiwał głową. Nie miał innego wyjścia. Podpisał umowę z Centralą, był zobowiązany przywieźć nasiona wysokiej klasy. A co dostarczył? Sam „broch” dostarczył. I jeszcze udawał, że nie pojmuje, że furtkę uchylano tylko

dlaczego. Plantator kładł więc podpis na kwicie, żyrował akt, który polegał na obniżeniu klasy nasion. Taki manewr przynosił pewną nadwyżkę. Od ziarna do ziarna i urosła tonowa miarka.

Przebież „Centrala” kupowała w ciągu roku 200 ton nasion koniżyny w jednym tylko województwie łódzkim.

Interes okazał się tak dobry, że ku zdumieniu zapracowanych chłopów, mali ludzie na podrzędnych funkcjach zaczęli budować wille nie wille, żyć na stopie mister Hunta z Dallas w kowbojskim Teksasie.

Rety, co się dzieje? Czarodzieje, magicy? Skądże, po prostu niezwykle kariery grupy ewaników i oszustów. Za nimi stał nie byle kto, stał handlowy szef Centrali we własnej dyrektorskiej osobie. Patronował sprytnie obmyślanej akcji, trudnej do wykrycia. Stracił nie notowano, bilans zgadzał się co do joly, ubytków nie zauważano. Szafa grała bez jednego, fałszywego tonu. Dokumenty były czyste jako ta liza dziewczęta, niezłego nie dało się im zarzucić. Doprawdy, czego się czepli? Ludzie coś tam poszeptują? Na pewno z zawisł, która ma przeciętne zielone, ludzkie oko. Dowody na stół, kto je ma w ręku?

Dowody znalazły się.

Nitkę wiozła taksówka na przedmieściu Łodzi. Milicjant, który zatrzymał auto i zanurzył palec w worku z koniżyną, sam Jeszcze o tym nie wiedząc, wsadził kij w mrowisko. Raczej w społeczne mrowisko. Po koniżynowej nitce, naprawdę czterolistnej, trafiono do kłębka. Był nim wielogłowy gang, działający na zasadzie ani mru mru, cisza sza, ręka rękę myje i swoją dolę bierze.

Wszystko sami przyjaciele, no cóż, tylko wspólni interesów rozdzieli przyjaźń szczerą i taką na amen...

Wyłoniona komisja badała prace „Centrali Nasiennej” przez kilka miesięcy. Gang znalazł się pod kluczem.

Afera młyńska, nasienna, bo to koniec na tym. Do pajęcznej roboty włączyli się też pracownicy Przedsiębiorstwa Skupu Surowców Włókienniczych i Skórzanych, oraz z GS więc z pionu spółdzielczego. Faceci z pionu Przedsiębiorstwa nie wybierali się po złote runo do legendarnej Kolchidy. Mieli Kolchidę pod nosem. To oni kupowali wełnę od hodowców owiec. Wmawiali hodowcom, że runo kiepskie, bo włos za krótki, za gruby, za tłusty, za brudny, w ogóle do niczego. Szli też na chłama, kropili runo solidnym kropidłem, po takim chrzcie wełna rosła jak ciasto na drożdżach.

W sposób zaiste naiwny, mało odkrywczy rozdziła się nadwyżka, która niby ten polak monet brzęczących spadała na łono aferzystów.

Ci tak zasmakowali w robocie, że brnęli skóry nie zmieniając, no i wpadli. Poszli po wełnę, wrócili ośrżżeni.

Wstosunkowo krótkim czasie wykryto w Łodzi 3 duże afery przestępcze związane ze wsią. Ano, zmieniło się. Tylko mały bandzior działa dziś w pojedynkę i okrada nad ranem mały kłosek na perferiach. Miliony padają lupem dobrze zorganizowanych klik i kłosek. Raduje i w jakiejś mierze podnosi na duchu, że wszyscy ci tak zreżni z pozoru aferzyści, stali się w końcowym rachunku kompletnymi bankrutami. Postawili życiową karierę na kam i stawkę przegrali.

Afera nasienna, młyńska, wełniana, gdyby chodziło tylko o wieś, problem jest daleko szerszy. Starczy ranó rzucić okiem na kronikę sądową w prasie codziennej, by wpaść na resztkę dnia w ponurą melancholię. Afery są plagą, są wyzwaniem zrzuconym ludziom, którzy żyją z pensji i z trudem docierają miesiąca. Gdzie więc leżą granice ludzkiej cierpliwości?

Dlaczego małe, wyizolowane grupy aferzystów mają zakłócać życie ludziom pracującym uczciwie?

JAN BABIŃSKI

Oto zaczyna się sezon Olimpiad. Otwiera go Innsbruck — zimowa igrzyska w Innsbrucku. Niewielkie pokładamy w nich nadzieje. Może seneckarze nie zawiodą na torze w igls. Może Józefowi Przybyło wyjdzie stumetrowy skok. Oby wyszedł. Jeden, na więcej nie ma co liczyć. Przybyła jest młody, nie obrócił w doświadczenie, a umiejętności prowadzenia nart w powietrzu i umiejętności lądowania... Widzieliśmy go dziesięć dni temu na ekranach telewizorów. To nie są silne strony Przybyły.

Olimpiada... Wielka idea barona de Coubertin. Igrzyska ludzi, którzy uprawiają sport mimochodem. Uprawiają również i sport. Smieszna, anachroniczna idea. Może nie była anachronizmem u końca XIX wieku. Stała się nim dzisiaj, w tym świecie, w którym żyjemy. Jest to świat specjalizacji. Nieustannej, nie dającej się powstrzymać. Nikt nie dysponuje wiedzą kompletną. Nikt nie wyznaje się zarazem na konsekwencjach teorematu Loewenheima, mikrofizyce i przemianach społecznych bizantyjskich wsi. Nauka zmieniła się w wielość różnorodnych dyscyplin. Pojawiają się coraz to nowe. Minione stulecie nie znało wielu profesji, które dziś wydają się nam nieodzowne. Wylania się potrzeba rozdzielenia funkcji, skupianych niegdys w jednym ręku. Jest ich zbyt wiele. Są zbyt skomplikowane. Jeden człowiek nie obejmuje ich wszystkich. Specjalizacja, właśnie specjalizacja powołała do życia ludzi gry.

Sport wyczynowy wymaga dziś armii trenerów. I armii badaczy — fizjologów, psychologów, socjo-techników. Wynik, wielki wynik żąda starannie opracowanych planów treningowych. Opartych o znajomość organizmu zawodnika, o prawidłowości biologiczne i psychologiczne. Wynik, wielki wynik postuluje lata ciężkiej, nużącej, żmudnej pracy. Bez niej zawodnik nie dojdzie do niczego. Bez marszobiegów, bez skakanki, bez rozpaczliwie powtarzanych ćwiczeń gimnastycznych. Publiczność kocha wynik. Czeka na

Gmieszna idea barona de Coubertin



wynik. Domaga się gry — wielkiej gry. Chce oglądać igrzyska. Ale chce zarazem, by były one igrzyskami najsprawniejszych. By padał tu rekord za rekordem. By poprzeczka wznosiła się coraz wyżej. By hokeista przetrzącał z ręki do ręki kij wraz z krążkiem. I by raptownie za sprawą niedostrzeżalnego już ruchu uderzał w krążek, obrócony tyłem do bramkarza. I by trafiał. Wówczas, właśnie wówczas! Pragnienie publiczności? — One formują ludzi gry. Ludzie gry bywają zawodowcami. Są lepsi od amatorów. Z reguły lepsi. Nie tylko dlatego, że na zawodownictwo przechodzi najzdolniejszy amator. A w każdym razie taki, po którym najwięcej można sobie obiecywać. Przewagę daje im kondycja, zdobywana nie bez wysiłku i nie bez zaciśniętych zębów. Przewagę daje im czystszy, bo niemalże codzienny kontakt z grą. Przewagę zapewnia wyćwiczenie określonych nawyków. Treowanych bez przerwy. Z uporem. Treowanych aż do końca. Ktoś kiedyś — bodajże Maciej Wierzyński w „Przebież Sportowym” — napisał, że zawodowcy wcale nie są tacy znakomici w „wymiernych” dyscyplinach sportu. Myślał pewnie o Piłem, który nie najlepiej biegał długie dystanse, wówczas gdy biegał je jako zawodowiec. Albo o koszykarzach Harlem Globtrotters, którzy niedawno temu przegrali — notabene, z również zawodowcami zasilonymi madryckim Realem. Ale przecież zawodownictwo w lekkiej atletyce było imprezą nieudaną. Lekka atletyka nie ma na Zachodzie swojej publiczności. Gdy Ron Clarke bil rekord światła na 10 kilometrów, na stadionie siedziało dwadzieścia kilka osób. Biegacz nie strzyma się tam z biegania. A już na pewno nie zbije na tym fortuny. Harlem Globtrotters? To nie drużyna koszykarska. To ekipa żonglerów. Żonglerów, którzy posługują się koszykarską piłką. Oprócz niej istnieje drużyna zawodowe. Grają według innych przepisów. Ale niech ktoś z drużyny amatorskiej czy quasi-amatorskiej spróbuje wygrać z Celtami, i niech Chuck Mc Kinley

— aktualny mistrz Wimbledonu — wygra z Rosewallem. Bardzo chciałbym to zobaczyć.

Zawodowcy są ludźmi gry. Nie tylko oni. To również ci lekkodoci, piłkarze, bokserzy, skoczkowie narciarscy wreszcie, których wspiera mecenas. Mecenasem bywa niekiedy człowiek z krwi i kości. Pan X czy pan Y. Częściej bywa nim instytucja. Uniwersytet fundujący stypendia dla sprinterów, armia bojąca na dyskobol, państwo na koniec. Państwo, które daje zawodnikowi wikt i opierunek, zwalnia go z pracy, płaci mu kadrowe.

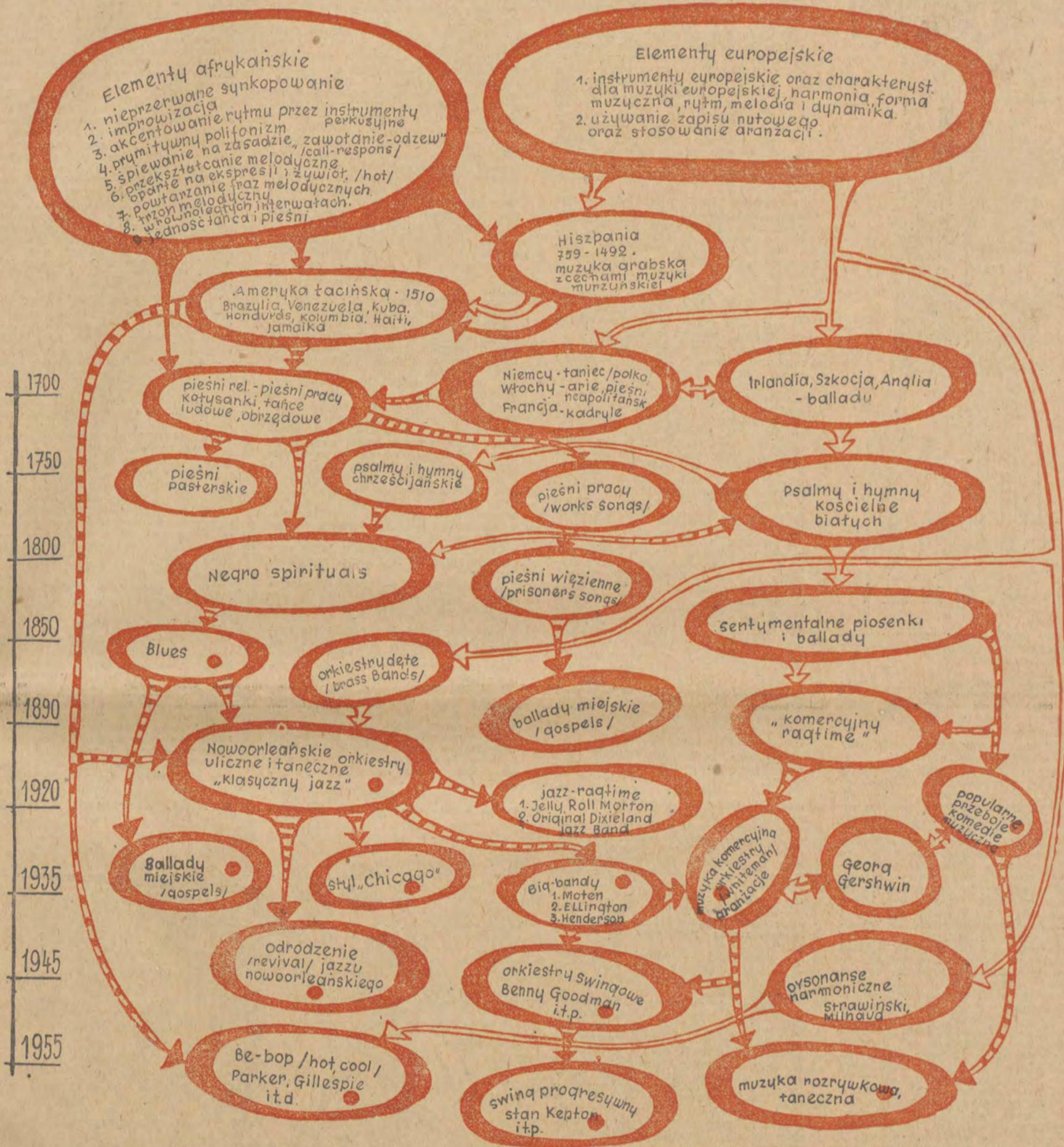
Smieszna idea barona de Coubertin! Wykluczala z Olimpijskich igrzysk ludzi gry. Mogli być widzami. Nie mogli walczyć o złote medale. W teorii. W praktyce bowiem... Gdyby przestrzegać olimpijskie przepisy, trzeba by czymś przedź zamknąć igrzyska. Większość zawodników z olimpijskiego startu czerpie bowiem profity. Tak, nie biorą pieniędzy. Ale — w najlepszym razie zamieniają złoty medal na intratniejszą posadę, dogodniejszą pracę. Toteż przepisy przestrzegają się tylko do połowy. Na uchybienia patrzy się łagodnym, wyrozumiałym wzrokiem. Patrzy się na nie i niczego się się widzi. Patrzy się i nie dostrzega. Ale i tak rezultaty nie są zbyt zachwycające. Kogóż interesuje olimpijski turniej piłki nożnej? Nie gram ani Pele, ani Riviera, ani Greaves.

Mistrz olimpijski w kolarstwie? Przecież nie wygra on Tour de France. Mistrz olimpijski w hokeju? Z całą pewnością będzie on słabszy od mistrza National Hockey League — amerykańsko-kanadyjskiej ligi zawodowej. Smieszna idea barona de Coubertin! Godna i starsowiecka nadgrzyżona przez mole czasu. Cóż robić z nią w naszym świecie?

Cóż robić?

Punch

CECHY I ROZWÓJ JAZZU



legenda:

- wpływ muz. afrykańskiej.
- wpływ muz. europejskiej.
- wpływ muz. afro-ameryk.
- kontynuowanie do dzisiaj

Jazz, ta najbardziej współczesna, najnowocześniejsza muzyka zdobyła w ciągu niecałego wieku jej istnienia zarówno miliony entuzjastów jak i miliony antagonistów. Wokół jazzu narosło wiele legend przeplatanych nie zawsze słusznymi pojęciami, wykształciło się wiele opinii zarówno przeceniających jego znaczenie, jak i całkowicie dewaluujących jego wartość. W ciągu niespełna 50 lat jazz opanował całą bez wyjątku kulę ziemską. Gra się go w Chicago i Moskwie, słucha w Warszawie i Tokio, tańczy w Paryżu i Pradze. Ten uwieczniony pełnym powodzeniem podbój świata, w dobie istnienia filmu, TV, w dobie rozkwitu literatury, teatru czy muzyki poważnej zmusza do refleksji, do zastanowienia. Każde wreszcie zapytać: co to właściwie jest ten jazz? W cyklu artykułów objętych wspólnym tytułem „Źródła i drogi jazzu” postaram się państwu na pytanie to odpowiedzieć.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

Historia Giulia Romati



dalszy ciąg ze str. 1

— Czy signor Romati znowu zajmuje się rozwiązaniem jakiegoś zagadnienia z algebry lub astronomii?

— Bynajmniej — odpowiedział signor Romati chętnie dostać się z Reggio do Neapolu i w tej chwili przemyślał nad rozwiązaniem zagadnienia, jakim sposobem potrafi uniknąć spotkania z bandą signora Zota.

Natenczas nieznanomy, przybrawszy poważną postać, rzekł:

— Signor Romati, zdolności twoje przynoszą zaszczyt twemu krajowi; zaszczęść ten bez wątpienia jeszcze się powiększy, gdy przez nową podróż rozszerzysz zakres twoich wiadomości. Zota jest człowiekiem zbyt poważającym naukę, aby miał przeszkadzać ci w tak szlachetnym przedsięwzięciu. Weź te czerwone piórka, zatknij jedno za kapełusz, resztę rozdaj swoim ludziom i śmiało puszczaj się w drogę. Co do mnie, jestem tym samym Zotem, którego się tak lękasz i ażebyś nie wątpił o tym, co ci powiadam, patrz, oto są narzędzia mego rzemiosła.

To mówiąc odwinął płaszcz i pokazał mi pas z pistoletami i sztyletami, po czym przyjacielsko uścił mi rękę i zniknął.

Znany charakter Zota sprawił, że zupełnie zaufałem jego przyrzeczeniom. Wróciłem niesłychanie zadowolony do mojej gospody i natychmiast posłałem po mulników. Wnet kilku ich przyszło i śmiało ofiarowało mi swoje usługi, rozbójnicy bowiem tak im jako i ich zwierzętom nie wyrządzali żadnej krzywdy. Wybrałem spomienię ich człowieka, który miał powszechnie dobrą sławę. Nająłem jednego muła dla siebie, drugiego dla mego służącego i dwa inne pod juki. Sam mulnik miał także swego muła i dwóch pieszych pomocników.

Nazajutrz o świcie wyruszyłem w drogę i zaledwie oddaliłem się o milę od miasta, gdy ujrzałem małe oddziały Zota, które zdawały się pilnować mnie z daleka i zmieniały w miarę naszego posuwania się naprzód. Tym sposobem, pojmując, nie miałem się czego obawiać.

Podróż wiodła mi się wybornie, a zdrowie z każdym dniem polepszało. Już byłam tylko o dwa dni od Neapolu, gdy nagle przysłała mi myśl, aby zbroczyć z drogi i zwiedzić Salerno. Ciekawość ta łatwo dawała się usprawiedliwić: odrodzenie sztuk jest we wszystkich krajach najbardziej interesującą epoką historyczną, a Salerno było we Włoszech jego kolebką. Wreszcie sam nie wiem, jaki fatalizm ciągnął mnie do przedsięwzięcia tej nieszczęśliwej podróży.

Zjechałem z głównego gościńca w Monte Brugio i włączyłem przewodnika z pobliskiej wioski, zapuściłem się w okolicę najbliższą, jaką tylko można sobie wyobrazić. O południu przybyliśmy do wspaniałego budynku, który mój przewodnik nazywał gospodą, ale nie po-

znałem tego bynajmniej po przyjęciu, jakiego doznałem od gospodarza. W istocie, biedak ten, zamiast ofiarować mi jakiś posiłek, błagał mnie, abym mu udzielił nieco z moich zapasów. Na szczęście miałem ze sobą mięso na zimno, podzieliłem się więc z nim, z moim przewodnikiem i służącym, mulnicy bowiem zostali w Monte Brugio.

W dwie godziny potem opuściłem to nędzne schronienie i wkrótce spostrzegłem obszerny zamek, położony na szczytce góry. Zapytałem mego przewodnika, jak się to miejsce nazywa i czy jest zamieszkałe. Odpowiedział mi, że w kraju nazywano je zwykle lo monte albo też lo castello, że zamek jest zupełnie zrujnowany i nie zamieszkały, ale że wewnątrz zbudowano kaplicę z kilku celami, gdzie franciszkanie z Salerno utrzymują pięciu czy sześciu zakonników; przy tym dodał z wielką prostotą:

— Dziwne historie rozpowiadają o tym zamku, ale ja żadnej nie umiem na pamięć, gdyż jak tylko kto zacznie o tym mówić, natychmiast uciekam z kuchni i idę do mojej bratowej, Peppy, gdzie zwykle zastaję jednego z ojców franciszkanów, który mi daje swój szkapierz do pocałowania.

Pytałem go dalej, czy będziemy przejeżdżali koło zamku. Odpowiedział mi, że niebawem dostaniemy się na ścieżkę prowadzącą środkiem zbocza góry.

Śród tego niebo pokryło się chmurami i nad wieczorem zaryzała straszliwa burza. Jak na nieszczęście znajdowaliśmy się na pochyłości góry, która nie dawała żadnego schronienia. Przewodnik oznajmił nam, że w pobliżu znajduje się obszerne jaskinie, do której jednak droga jest nader przykra. Postanowiłem korzystać z jego rady, ale zaledwie zjechaliśmy między skały, gdy tuż obok nas uderzył piorun. Muł mój upadł, ja zaś stoczyłem się z wysokości kilku sążni; cudownym trafem zaczęliem się o drzewo i czując, że jestem ocalony, zacząłem wołać na moich towarzyszy, ale żaden mi nie odpowiedział.

Błyskawice z taką szybkością następowały po sobie, że przy ich świetle zdolałem rozpoznać otaczające mnie przedmioty i staną na bezpiecznym miejscu. Postępowałem naprzód, chwytając się za drzewa i krzaki, i tym sposobem dostaliśmy się do małej jaskini, która jednak nie dotykała żadnej ścieżki, nie mogła więc być tą, o jakiej mi przewodnik wspominał. Ulewa, wicher, grzmoty i pioruny zwiększyły się w dwójnasób. Drżałem cały w przemoczonej odzieży i przez kilka godzin musiałem zostawać w tym nieznosnym położeniu. Nagle zdało mi się, że widzę pochodnię, migające na dnie wąwozu. Sądziłem, że to moi ludzie, jałem ich przywoływać i wkrótce usłyszałem krzyki w odpowiedzi.

Niebawem spostrzegłem młodego człowieka przywołanej postaci z kilku służących, z których jedni nieśli pochodnie, drudzy zaś zawiniątką z odzieżą. Młodzieniec uklonił mi się z głębokim uszanowaniem i rzekł:

— Signor Romati, należymy do księżniczki Monte Salerno. Przewodnik, którego wzięłeś w Monte Brugio, doniósł nam, że zabłąkałeś się w tych górach, przychodzimy więc po ciebie z rozkazu księżniczki. Racz przywdział to odzienie i pójść z nami do zamku.

— Jak to — odpowiedziałem — chcesz mnie signor zaprowadzić do tego opuszczonego zamku położonego na szczytce góry?

— Bynajmniej — odparł młodzieniec — ujrzysz przepyszny pałac, od którego zaledwie o dwieście kroków jesteśmy oddaleni.

Myślałem, że w istocie jakaś neapolitańska księżniczka miała swój pałac w tych okolicach, ubrałem się więc i pośpieszyłem za moim młodym przewodnikiem. Wkrótce znalazłem się przed przysionkiem z czarnego marmuru, ponieważ jednak pochodnie nie oświecały reszty budynku, nie mogłem dostatecznie o nim sądzić. Młodzieniec opuścił mnie na dole schodów, wszedłem więc sam na górę i na pierwszym zakręcie spostrzegłem kobietę niezwykłej piękności, która mi rzekła:

— Signor Romati, księżniczka Salerno poleciła mi pokazać ci wszystkie piękności swej siedziby.

Odpowiedziałem, że sądząc o księżniczce po jej orszaku niewieściom, musi ona przewyższać wszelkie wyobrażenia, jakie można sobie o niej uczynić.

W istocie, przewodniczka moja była tak doskonałej piękności i tak szlachetnej postawy, że zaraz z początku pomyślałem, że kto wie, czy to nie jest sama księżniczka. Zauważyłem także, że nosi na sobie ubiór, jaki spostrzegamy na portretach z przeszłego wieku; sądziłem jednak, że to strój dam neapolitańskich, które wznowiły tę starodawną modę.

Weszliśmy naprzód do komnaty, gdzie wszystko było z lanego srebra. Posadzka składała się ze srebrnych kwadratów, jednych polerowanych, innych matowych. Sufit wyrabiany był w smaku drewnianych rzeźb w dawnych zamkach. Nareszcie lamperie, oprawy obić, zwierciadła, rami i stoly zadziwiała wykończeniem diuta snycerskiego.

— Signor Romati — rzekła mniemana

dama dworu — zbyt długo zatrzymuję się nad tymi drobnostkami. Jest to tylko przedpokój przeznaczony dla pierwszej służby księżniczki Monte Salerno.

Nia na to nie odpowiedziałem i weszliśmy do drugiej komnaty, podobnej kształtem do pierwszej, wyjąwszy, że wszystko, co tam było ze srebra, tu było złocone, z ozdobami z tego cieniowanego złota, jakie tak wysoko ceniono przed pięćdziesięciu laty.

— Ta komnata — mówiła dalej młoda nieznajoma — należy do szlachty dworskiej, marszałka i innych urzędników naszego dworu, w pokojach księżniczki nie zobaczysz ani złota, ani srebra; panuje tam zupełna prostota — możesz to poznać już z tej sali jadalnej.

To mówiąc otworzyła boczne drzwi. Weszliśmy do sali, której ściany pokrywał kolorowy marmur, a u sufitu zaś naokoło biegła płaskorzeźba, misternie wyrobiona z białego marmuru. W głębi, we wspaniałych kredensach, stały naczynia ze skalnego kryształu i czary z najpiękniejszej indyjskiej porcelany.

Ślad wróciliśmy znowu do komnaty dworzan i przeszliśmy do sali bawialnej.

— Oto jest sala — mówiła dama — która bez wątpienia wzbudzi twój podziw.

Rzeczywiście, stanąłem jak osłupiały i począłem naprzód przypatrywać się posadzce, która była ułożona z lapis-lazułu, przeklądanego twardymi kamieniami na kształt mozaiki florenckiej. Jedna tafa takiej mozaiki kosztuje kilkanaście lat pracy. Rysunek z dala przedstawiał jeden wielki arabesk, ale przypatrzysz się bliżej szczegółom spostrzeżesz się ich nieskończoną różnorodność, która dodawała wdzięku całości. W istocie, jakkolwiek rysunek wszędzie zdawał się jednakoowy, tu jednak wyobrażał najpiękniejsze różnobarwne kwiaty, ówdzie muszle połyskujące kolorami tęczy, tam znowu motyle, dalej kolibry. Tak więc najdroższe kamienie posłużyły do naśladowania tego, co w naturze jest najpowabniejszego. W środku tej wspaniałej posadzki ustawiono szkatułę z drogiej kamieni, otoczoną sznurem wielkich pereł. Cała mozaika wydawała się płaskorzeźbą i jakby rzeźwista, zupełnie tak, jak w mozaikach florenckich.

— Signor Romati — przerwała nieznajoma — jeżeli nad wszystkim będziesz tak długo się zastanawiał, nie skończymy nigdy.

Natenczas podniosłem oczy i spostrzegłem obraz Rafaela, który zdawał się być pierwszym szkicem jego Szkoły Ateńskiej, piękniejszym jednak co do kolorystyki, z powodu świetności olejnych farb.

Następnie ujrzałem Herkulesa u nogi Omfali; postać Herkulesa była pędzla Michała Anioła, w twarzy kobiety poznałem utwór Guida. Jednym słowem, każdy obraz przewyższał w doskonałości wszystko, co dotąd widziałem. Obicie sali było z gładkiego, zielonego aksamitu, od którego barwy malowidła wybornie się odbijały.

Po obu stronach każdego drzwi stały posągi nieco mniejszej niż naturalna

wielkości. Było ich razem cztery: sławny Amor Fidiasza wykuty dla Fryne, Faun tegoż mistrza, prawdziwa Wenus Praksytelesa, której Medycejska jest tylko kopią, wreszcie Antinous nadzwyczajnej piękności. Oprócz tego w oknach stały marmurowe grupy.

Naokoło salonu ustawione były komnaty z szufladami, ozdobione zamiast brązem — misternymi oprawami jubilerskimi, obejmującymi kamee, jakie zaledwie można by znaleźć w królewskich gabinetach. Szuflady zawierały zbiory złotych monet starożytnych, ułożone w uczynnym porządku.

— Tutaj to — rzekła moja przewodniczka — pani tego zamku przepędza poobiednie godziny, przeglądanie bowiem tych zbiorów nastroja rozmowę równie ciekawą jak pouczającą; ale pozostaje jeszcze wiele rzeczy do obejrzenia, pójdź więc za mną.

Wtedy weszliśmy do sypialni. Była to ośmiokątna komnata z czterema alkowami, w każdej zaś stało obszerne, wspaniałe łożo. Nie było tu widać ani lamperii, ani obić, ani sufitu. Z wytwornym smakiem rozwieszony, pokrywał wszystko muslin indyjski, haftowany w misternie wzory i tak cienki, że można go było widać za mgłą, którą sama Arachne sprzedała w lekka tkaninę.

— Po cóż te cztery łożka? — zapytałem.

— Ażeby można się przenieść z jednego na drugie w razie, gdy upał nie dozwala zasnąć — odpowiedziała piękna nieznajoma.

— Ale dlaczego te łoża są tak obszerne? — dodałem po chwili.

— Czasami księżniczka, gdy bezsenność ją trawi, ma zwyczaj przywoływania swoich kobiet. Ale przejdźmy do łazienki.

Była to okrągła komnata, wykładana perłową macią z szlakami z korali. Dokoła sufitu sznur z wielkich pereł utrzymywał frędzle z klejnotów tejże samej wielkości i wody. Sufit składała jedna wielka szyba szklana, przez którą widać było pływające złote rybki chłińskie. Zamiast wanny, w środku komnaty wprawiona była wyłobiona płyta marmurowa, dokoła obłożona sztuczną pianką, pośród której sterczały najróżniejsze indyjskie muszle.

Na ten widok nie mogłem już powstrzymać oznak podziwienia i zawołałem:

— Ach, pani, raj ziemski niczym jest w porównaniu z tą cudną siedzibą!

— Raj ziemski! — krzyknęła młoda kobieta przerażona i prawie z rozpaczą — raj! czy mówisz o raju? Proszę cię, signor Romati, nie wyrażaj się w ten sposób, usilnie cię o to proszę, teraz pójdź ze mną.

Natenczas przeszliśmy do ptaszarni, napelnionej wszelkimi rodzajami ptaków podzwrotnikowych i wszystkimi miłymi śpiewakami naszego klimatu. Zastaliśmy tam stół nakryty dla mnie samego.

— Jakże możesz pani sądzić — rzekłem do pięknej przewodniczki — aby ktoś



mógł myśleć o jedzeniu w tym boskim pałacu. Widzę, że pani nie masz zamiaru dotrzymać mi towarzystwa. Z mojej strony nie odważę się sam zasiąść, chyba pod warunkiem, że pani raczysz opowiedzieć mi niektóre szczegóły o księżniczce, która posiada te wszystkie cuda.

Młoda kobieta wdzięcznie się uśmiechnęła, podała mi jadło, usiadła i zaczęła w te słowa:

— Jestem córką ostatniego księcia Monte Salerno...

— Jak to? ty, pani?

— Chciałam rzec, księżniczka. Monte Salerno — ale nie przerywaj mi.

Księżę Monte Salerno, pochodzący z dawnych udzielnych ksiąząt Salerno, był grandem hiszpańskim, naczelnym wodzem wojsk, wielkim admirałem, wielkim koniuszym, wielkim marszałkiem dworu, wielkim łowczym, jednym słowem, łączył w swojej osobie wszystkie wielkie urzędy królestwa neapolitańskiego. Jakkolwiek sam zostawał w służbie królewskiej, jednakże miał na swoim dworze wiele szlachty, między którą była i tytułowana. W liczbie tej ostatniej znajdował się margrabia Spinaverde, pierwszy dworzanin księcia, posiadający całe jego zaufanie, na równi ze swoją małżonką, margrabinią Spinaverde, pierwszą damą z orszaku księżny. Miała wówczas dziesięć lat — chciałam rzec, że jedyna córka księcia Monte Salerno miała dziesięć lat, gdy umarła jej matka. Wtedy to oboje Spinaverde opuścili dom księżęcy: mąż, ażeby zająć się ogólnym zarządaniem dóbr, żona zaś — moim wychowaniem. Zostawili w Neapolu najstarszą córkę, imieniem Laura, w której, jak utrzymywano, sam księżę się kochał. Matka jej i młoda księżniczka przybyły na mieszkanie do Monte Salerno. Niewiele zajmowano się wychowaniem młodej Elfridy, natomiast starano się zadość czynić wszelkim jej zachciankom; przyzwyczajano się słuchać najmniejszych moich skłóceń.

— Skłóceń twóich, pani? — zawołałam.

— Nie przerywaj mi, signor, już cię raz o to prosiłam — odparła gniewnie, po czym tak dalej mówiła:

— Zachciało mi się wystawić cierpliwość moich kobiet na próby wszelkiego rodzaju. Co chwila dawałam im sprzeczne rozkazy, których zaledwie połowę były w stanie wypełnić, wtedy karałam je szczypaniem, drapaniem lub zatykaniem szpilek w ręce i nogi. Niebawem wszystkie mnie porzuciły. Margrabina przysłała mi inne, ale i te nie mogły długo ze mną wytrzymać. Tymczasem mój ojciec ciężko zachorował i udaliśmy się do Neapolu. Mało go widywałam, ale oboje Spinaverde nie opuszczali go na chwilę. W końcu umarł i w testamencie nazaczył margrabiego jedynym opiekunem córki i zawiadowcą wszelkich jej majątków.

Pogrzeb zatrzymał nas przez kilka tygodni, po czym wróciliśmy do Monte Salerno, gdzie znowu zaczęłam męczyć moje służące. Cztery lata upłynęły mi na tych niewinnych zatrudnieniach, które były dla mnie tym przyjemniejsze, że margrabina zawsze przyznawała mi słusność, zaręczając, że cały świat jest na moje usługi i że nie ma dość srogiej kary dla tych, którzy nie chcą mi być posłusznymi.

Pewnego jednak dnia wszystkie moje służące jedna po drugiej mnie opuściły, tak że wieczorem musiałam rozbiierać się sama. Rozplakałam się ze złości, i pobiegłam do margrabiny, która mi rzekła: — Droga, miła księżniczko, osusz twój piękny oczy; ja sama cię dziś rozbiore, jutro zaś przyprowadzę ci sześć kobiet, z których bez wątpienia będziesz zadowolona.

Nazajutrz, za moim przebudzeniem, margrabina przedstawiła mi sześć młodych i nader pięknych dziewcząt, które na pierwszy widok sprawiły na mnie dziwne wrażenie. One same zdawały się być wzruszone. Ja pierwsza ochłonęłam z mego pomieszania, wyskoczyłam z łóżka, uściskałam je po kolei i zapewniałam, że nigdy nie będą ani bite, ani łajane. W istocie, chociaż ubierając mnie czasami niezgrabnie sobie poczynały lub osmielały się mnie nie słuchać, nigdy się na nie nie gniewałam.

— Ależ pani — rzekłam do księżniczki — kto wie, czy te dziewczęta nie były młodymi przebranymi chłopcami.

— Księżniczka przybrała dumną postawę i odparła:

— Signor Romati, prosiłam cię, abys mi nie przerywał — i po tych słowach tak dalej mówiła:

— W dniu, w którym skończyłam szesnaste lat, zapowiedziano mi znakomite odwiedziny. Byli to: sekretarz stanu, ambasador hiszpański i księżę Guadarrama. Ten ostatni przybywał prosić o moją rękę, dwaj inni zaś towarzyszyli mu tylko dla poparcia jego prośby. Młody księżę był ujmującej postaci i nie mogąc zaprzeczyć, że uczynił na mnie silne wrażenie. Wieczorem wyszliśmy wszyscy na przechadzkę do ogrodu. Zaledwie uczyniliśmy kilka kroków, gdy byk rozjuszony



wyskoczył spomiędzy drzew i rzucił się prosto na nas. Księżę zabiegł mu drogę z płaszczem w jednej, ze szpadą zaś w drugiej ręce. Byk wstrzymał się na chwilę, wkrótce jednak poskoczył na księcia i padł przesyty jego żelazem. Zdało mi się, że byłam winna życie odwadze i zręczności młodego księcia, ale nazajutrz dowiedziałam się, że koniuszy jego namyślnie przywiódł tam byka i że pan jego chciał tym sposobem wyświadczyć mi grzeczność, wedle zwyczajów swego kraju. Natenczas, zamiast wdzięczności, rozgniewałam się za bojażń, jakiej mnie nabawił, i odrzuciłam ofiarę jego ręki.

Postępek mój niesłychanie podobał się margrabinie. Korzystała z tej sposobności, aby dać mi poznać wszystkie moje zalewy, i wystawiła mi straty, na jakie bym się naraziła zmieniając stan i nadając sobie pana. Wkrótce potem ten sam sekretarz stanu przyjechał do nas w towarzystwie innego ambasadora i panującego księcia Nudel-Hansberg. Załotnik ten był wysoki, gruby, tłusty, jasnowłosy, biały aż do siniści i usiłował bawić mnie rozmową o majoratach, jakie posiadał w dziedzicznych państwach, ale mówił po włosku ze śmiesznym tyrolskim akcentem.

Zaczęłam przedrzeźniać jego wymowę i tymże samym akcentem zapewniałam go, że jego obecność jest niezbędna w majoratach, które posiada w państwach dziedzicznych. Niemiecki książe wyjechał dotknięty do żywego. Margrabina okryła mnie pieczętami i ażeby tym pewniej zatrzymać mnie w Monte Salerno, kazała wykonać wszystkie te piękne rzeczy, które tu podziwiałeś.

— Zaprawdę, wybornie jej się udało — zawołałam — cudowny ten pałac słuszenie może być nazwany rajem ziemskim.

Na te słowa księżniczka powstała z oburzeniem i rzekła:

— Signor Romati, już cię prosiłam, abys nie używał więcej tego wyrażenia — po czym zaczęła śmiać się, ale straszliwym i konwulsyjnym śmiechem, powtarzając ciągle: — tak — rajem — ziemskim rajem — ma właśnie o czym mówić — o raju.

Scena ta poczynała stawać się przykra; księżniczka na koniec przybrała dawną strówą postać i groźnie na mnie spojrzawszy rozkazała, abym udał się za nią.

Natenczas otworzyła drzwi i znaleźliśmy się w obszernej podziemiach, w których głębi połyskiwało jak gdyby srebrne jezioro, które w istocie było z żywego srebra. Księżniczka klasnęła w dłonie i spostrzegłam łódkę, kierowaną przez złotego karla. Wszliśmy do łodzi i wtedy dopiero poznałam, że karzeł ma twarz ze złota, oczy diamentowe i usta z koralu. Jednym słowem był to automat, który za pomocą małych wiosel krajał fale żywego srebra z niesłychaną zręcznością i pędził łódkę naprzód. Ten nowego rodzaju przewoźnik wyładował z nami u stóp skały, która otworzyła się, i znowu weszliśmy pod podziemia, gdzie tysiące innych automatów przedstawiało nam najdziwniejsze widowisko. Pawie roztańczyły ogony wysadzone drogi kamieniami, papugi ze smaragdowymi piórami ulatywały nad naszymi głowami, Murzyni z hebanu na złotych półmiskach przynosili wino z rubinów i winogrona z szafirów — nieskończona ilość zadziwiających przedmiotów napełniała te cudowne sklepienia, których końca oko nie mogło dojrzeć.

Natenczas, sam nie wiem dlaczego, znowu wzięła mnie chętką powtórzenia tego nieszczonego porównania o raju, aby przekonać się, jakie wrażenie słowo to sprawi tym razem na księżniczkę. Ulegając więc niepowsięciłonej ciekawości rzekłam:

— W istocie, można powiedzieć, że pani posiadasz raj na ziemi...

Księżniczka jednak najwdzięczniej mi się uśmiechnęła mówiąc:

— Ażebyś lepiej mógł osądzić o przyjemnościach tej siedziby, przedstawię ci sześć moich służących.

Przy tych słowach dobyła złoty klucz

z pasa i otworzyła ogromny kufer, pokryty czarnym aksamitem ze srebrnymi ozdobami. Gdy wieko odskoczyło, ujrzałam wychodzącego kościotrupa, który zbliżał się ku mnie w groźnej postawie. Dobyłem szpady, ale kościotrup, wyrzucając sobie lewą rękę, użył jej zamiast broni i z wściekłością na mnie napadł. Bronielem się dość dzielnie, gdy wtem drugi kościotrup wyłazł z kufra, wylał żebro pierwszemu i z całej siły uderzył mnie nim w głowę. Pochwyliłem go za szyję, ale opwinął mnie kościstymi rękoma i chciał powalić na ziemię. Nareszcie zdołałem go się pozbyć, gdy wtem trzeci kościotrup wywlokł się z kufra i złączył z owoma pierwszymi. Za nim pokazały się jeszcze trzy inne. Wtedy nie mając nadziei wyjścia zwyciężając z tak nierównej walki, padłem na kolana przed księżniczką i prosiłem ją o miłosierdzie.

Księżniczka rozkazała kościotrupom wrócić do kufra, po czym rzekła:

— Romati, pamiętaj, abys nigdy w życiu nie zapomnił tego, co tu widziałeś.

W tej samej chwili ścisnęła mnie za ramię, uczułem się sparzony aż do kości i zemdlełam.

Nie wiem, jak długo zostawałem w tym stanie; na koniec obudziłem się i usłyszałem wokół mnie pobożne śpiewy. Poznałem, że leżę pośród obszernej zwalisk; chciałem się z nich wydostać i zaszedłem na wewnętrzny dziedzińiec, gdzie ujrzałem kaplicę i mnichów śpiewających jutrznię. Po skończonych modlitwach przeor zaprosił mnie do swojej celi. Poszedłem za nim i, starając się zebrać moje zmysły, opowiedziałem mu wszystko, com widział tej nocy. Gdy skończyłem powieść, przeor rzekł:

— Synu mój, nie patrzaleś, czy księżniczka nie zostawiła ci jakich znaków na rękę?

Odwinałem rękaw i w istocie spostrzegłem ramię oparzone i znaki pięciu paleców księżniczki.

Natenczas przeor otworzył skrzynkę stojącą przy jego łóżku i wyjął z niej stary pergamin.

— Oto jest — rzekł — bulla naszego założenia; ona może ci objaśni dzisiejsze twoje zdarzenie.

Rozwinąłem pergamin i przeczytałem, co następuje:

Roku Pańskiego 1503, dziewiątego lata panowania Fryderyka, króla Neapolu i Sycylii, Elfrida Monte Salerno, do ostatnich krańców posuwająca bezbożność, głośno chępiła się z posiadania prawdziwego raju i wyraźnie rzekła się tego, jaki nas czeka w przyszłym życiu. Tymczasem pełnej nocy z Czwartku na Wielki Piątek trzęsienie Ziemi pochłonęło jej pałac, którego zwaliska stały się piekielną siedzibą, gdzie szatan, wróg rodzaju ludzkiego, osadził chmarę złych duchów, które napastują tyściami obłąkami odważających się przybliżyć do Monte Salerno, a nawet pobożnych chrześcijan zamieszkujących te okolice. Z tego powodu my, Pius III, głowa duchowieństwa etc., etc. upoważniamy do założenia kaplicy w samym środku rzeczonych zwalisk...



Fragment „Rękopisu znalezionej w Saragossie” drukujemy na podstawie wydania z r. 1956. Tekst tego wydania oparty na przekładzie Edwarda Chojeckiego z r. 1847 przygotował do druku Leszeł Kukulski.

Wojciech Has jeden z najwybitniejszych reżyserów polskich młodego pokolenia. Ukończył w roku 1946 Instytut Filmowy (warsztat filmowy młodych) w Krakowie studiując jednocześnie sztukę piękne. Debiutował w roku 1947 średniometrażowym filmem fabularnym „Harmonia”. W latach 1948—51 realizował filmy dokumentalne w Wytwórni Filmów Dokumentalnych. W latach 1951—55 współpracował z Wytwórnią Filmów Oświatowych w Łodzi. Od roku 1958 oglądamy na ekranach kin jego filmy fabularne: „Petla”, „Pożegnania”, „Wspólny pokój”, „Rozstanie”, „Złoto”. Największym osiągnięciem artystycznym Wojciecha Hasa jest film „Jak być kochaną” oparty na opowiadaniu Kazimierza Brandysa.



mówi
Wojciech Has
reż. filmu
„Rękopis znaleziony w Saragossie”

ODGŁOSY: — Pytanie jest wprawdzie bardzo stereotypowe, myślimy jednak, że odpowiedź na nie zacieka wieli Czytelników interesujących się dobrą literaturą i dobrym filmem: Co sprawiło, że zajął się pan „Rękopisem znalezionym w Saragossie?”

WOJCIECH HAS: — „Rękopis znaleziony w Saragossie” jest właśnie dobrą literaturą. Jest powieścią wielowarstwową, porusza wiele spraw i problemów — chcemy, aby taki był i film. Jest powieścią posiadającą specyficzną aurę poetycką — chcemy więc, aby film nakręcony na podstawie „Rękopisu” tę poetycką aurę zachował. Jest w rękopisie wiele materiału do stworzenia filmu — komedii o dużych wartościach intelektualnych i rozrywkowych. I, w końcu, powieść Potockiego ukazuje i wyśmiewa pewne ludzkie wady i przywary zawsze typowe. Istota ich jest ta sama i obecnie, mimo iż film rozgrywa się w czasach dość nam odległych.

ODGŁOSY: Kinomani znający dotychczasową twórczość Pana będą zapewne zdziwieni, że podjął się Pan realizacji dwuseryjnego, wielkiego filmu.

WOJCIECH HAS: — Nie sądzę, aby „Rękopis znaleziony w Saragossie” szczególnie się różnił od moich dotychczasowych filmów. Nie będzie w nim nic z „Serca i szpady”, niewiele będzie atmosfery przygodowo-awanturkowej. Mimo tej „wielkości” będzie to film kameralny. Tak zresztą widziałem ekranizację „Rękopisu” już od dawna, bo od dawna nosiłem się z zamiarem zrealizowania tego filmu. Czekalem tylko na wykształcenie przyzwoitego warsztatu reżyserskiego. Chciałem zawsze — i nie zmieniłem zdania w przededniu przystąpienia do zdjęć — nakręcić film poetycki o pewnym filozoficznym wydźwięku.

ODGŁOSY: — Co zatem zostanie w filmie z poezji, z filozofii ksiątki Potockiego?

WOJCIECH HAS: — Udowodnianie, uoacznianie, że czas jest czymś bardzo względnym. Ze ludzkie wyobrażenia, wspomnienia przez tworzone w wyobraźni, żyjące w człowieku, nie dają się właściwie zakwalifikować ani do czasu przeszłego, ani do teraźniejszego. Ta właśnie zabawa z czasem, igraszki z czasem, wydają mi się szczególnie frapujące.

Rozmawiał: MAW

KARNAWAŁ 1886

Dawna prasa łódzka. „Dziennik Łódzki” z roku 1886. Zima. Karnawał. Łódzianie bawią się.

Przy ulicy Piotrkowskiej, tam gdzie dziś mieści się kino „Polonia”, wznosił się wówczas zasobny, wydłużonego kształtu dom — hotel „Victoria”. Był duży, dwupiętrowy, z szeroką bramą wjazdową, z wielkim, rozległym podwórkiem, okalającym stojący w głębi drewniany teatralny budynek. Budynek miał dużą teatralną salę i tam właśnie, w tej sali teatru „Victoria” — tańczono w Łodzi przede wszystkim. Odbywały się taneczne wieczory i gdzie indziej, np. w sali teatru „Thalia”; tradycyjne sobotnie i niedzielne maskarady „dla amatorów zabaw nieetykietalnych” (bywali tu głównie niżej urzędnicy, kantorowicze, ekspedienty) — w teatryku „Varieté”; czasem organizowano „wieczorki rodzinne” w restauracji „Eldorado” przy ulicy Promenadał, czasem, tamże, skromniejszą jakąś maskaradkę.

Poza tym, jak co roku, bawiono się prywatnie. Karnawał był jednak właściwie dość ospaty, „rozkręcił się” dopiero w drugiej połowie. Bał i wieczory publiczne odbywały się wyraźnie pod hasłem dobroczynności. Zbiera się więc fundusze na „stowarzyszenie pielęgnowania chorych”, na „ochronki dla starców”, na „szpital czasowy”, na „ubogich” w ogóle, na cele „Tow. Dobroczynności”, na „Ochotniczą straż pożarną”. Mizantropi i pesymiści na rzekają na wydatki, jakie pociąga organizacja zabaw, a jednak nieraz czysty dochód wyniesie i ponad 1000 rs., co nie jest przecież wcale małą sumą!

Któż jednak organizuje te publiczne zabawy? Niemcy? Polacy? „Spoleczeństwo polskie w Łodzi — pisze Sarmatiens — balów nie urządza... nie ma czasu ani pieniędzy... Ono tu pracuje. Urządza zabawy na cele dobroczynne? Bynajmniej, nie urządza, lecz wspiera je groszem. Urządza ją to wszystko Niemcy, bo w ich rękach ster wszelkich urządzeń dobroczynnościowych od dawna...” Z rzadka tylko organizacja imprez spoczywa w rękach polskich.

Największy, inauguracyjny karnawał 1886 roku bał w teatrze „Victoria”, a potem i drugi, również huczny, urządził dorocznym obyczajem „Klub czyli Towarzystwo milionowe”, zrzeszające kilkunastu niemieckich fabrykantów. W salach tanecznych, w sali teatru „Victoria” przede wszystkim, na posadzce balowej, łącząc się nieraz z elementem niemieckim — element polski. „Prawie połowę dostrzegłem publiczności polskiej — pisze sprawozdawca. — Zabawa trwała do rana.”

Rozległa sala teatru „Victoria” oświetlona jest w znacznej mierze świecami. W żółtawym nieco, niezbyt rześkim świetle widak starannie pomysłaną dekorację sali: grupy roślin w złoczystych drewnianych donicach — palmy, fikusy, oleandry, filodendrony. Gra ukryty nieco na wnieścieniu za taką właśnie ścianą zieleni orkiestralny karnawałowy zespół. Odróżniono już pierwsze powitalne tury walców. Najmłodniejsza w sezonie melodia — walc z operetki „Gasparone” Millöckera, za którym szaleje cała Warszawa, a za nią oczywiście i Łódź — wstąpiła już miejsca monotonnej trochę, składającej się z kilku części, odpowiadających szeregowi powolnie tańczonych, raczej „spacerowych” figur — trzujące kontredansa.

Pięknie prezentuje się balowa publiczność. Jakże są efektowne te balowe suknie, wspierające dziesiątki swych bogatych, barwnych, ozdobnych draperii na zgrabnie ukształtowanej turniurze, nie za wielkiej, ale jednak świetnie modelującej kobiecą figurę, ze stanem z przodu długim, prostym i owym tak malowniczo w kształt szyi labedziej wygiętym łagodnie tyłem! Olsniewają bogactwem. Ot, choćby toleta tej pięknej, już nieco w balzakowskim — niestety — wieku damy: zółta atlasowa spódnica do ziemi, pokryta białą koronką, od przodu ujęta z dwóch stron w dwie podłużne draperie z złotego adamaszku, spięte u dołu sutą kokardą i wielkim bukietem ciemnych



kwiatów. U stanika z bawetem w szpic, najmłodniejsza, głębokie wycięcie z przodu i tyłu, kończące się tak nisko, że opisywany strój dodaje pełne wątpliwości moralnej: „niestety”. Wspaniale płynie po posadzce bogaty tren w pasy z aksamitu o ciemnym kolorze bordo i w pasy z złotego adamaszku.

Obok damy — pan wytworny, z faworytami, z rozdziakiem pośrodku ufrizowanej głowy, we fraku z długimi polami, z sztywnym, lśniącym gorsem, z białą muszką przy kołnierzyku i wielką gardenią w butonierce. Glansowane białe rękawiczki opinają dłonie, zru nisko wyciętej kamizelki wygląda rozek pastelowego w barwie fularu. Opięte spodnie, płtyki czarny pantofel, szapokciak pod pachą, monokl w oku. Elegancja. Szyk. „Wielki świat”.

Młode dziewczętko o niebieskich porcelanowych oczach i różowych policzkach niemieckiej lalki — ma taką samą jak jej buzia różową atlasową sukienkę, pokrytą suto marszczonym różowym tiulem. Turniurka skromna, nieprzesadna, a jednak mile wydatna; na białej szyjce wąska czarna aksamitka związana z boku na kokardkę; w wysoko upiętej, tak zwanej „małej głowie”, z fryzowaną nad brwiami grzywką — skromny kwiatek.

„Młoda paniątka — mówi orzeczenie fachowca — naśladować wiosnę, powinna zdobyć się jak ona w kwiaty delikatniejsze, drobniejsze, gdy osoba starsza, zwłaszcza mężatka, świetniejszych kwiatów do przystrojenia potrzebuje. I tak się to posuwa aż ku tej jesieni, która zdobi się jeszcze owocem i liściem...”

Tak, bo oto nie tylko kwiaty, nie tylko liście wiodące, nie tylko owoce dekorują balowe,



ciężkie od pluszów, adamaszków, aksamitów i grubych koronek toalety dam. Oto tam, wśród zielonych, bogatych fald pluszu opadające z przodu, ciężkie festony koronki podtrzymują wypchane ptaszki z rozpiętymi skrzydłami. Jeden z nich przysiadł nawet na ramieniu damy, tuż przy uchu, w wielkim wachlarzu z piór — przy kucnął inny; we włosach przytu-



Hanna Malkowska i Krzysztof Chamiec w sztuce „Zaproszenie do zamku” J. Anouilha

Fot. F. Myszkowski

ZWIERZENIA AKTORÓW ROLA JAKĄ CHCIAŁABYM ZAGRAĆ

Mówić o swoich marzeniach, gdy się już nie ma (niestety) dwudziestu lat — to sprawa trochę żenująca. Tym trudniejsza, że dla mnie marzenia są w tej chwili raczej nieaktualne. Jestem właśnie w fazie uroczej przypłydy, jaką jest dla aktora spotkanie z nową rolą, która mu się podoba. Rola w „Zaproszeniu do zamku” podobała mi się od dawna jako wdzięczny i pełen humor materiał aktorski. Interesujące dla mnie było ujęcie przez autora postaci starej ciotki zupełnie odmienne od przeciętnego schematu takich ról. Starość pełna pogodnej mądrości, dowcipu i werwy, bez tradycyjnych deformacji. I tak się szczęśliwie złożyło, że Teatr im. Juracza wystawił „Zaproszenie”. Jestem więc obecnie skoncentrowana na tej roli, a to zawsze usuwa z kręgu zainteresowań inne tematy.

Jeśli chodzi o dalsze perspek-

tywy, to marzyłabym o dobrej współczesnej roli w świetnej polskiej współczesnej sztuce. Od zakończenia wojny, gdy wchodzi na scenę, znajduję się zawsze w innej epoce — utwory o tematyce wojennej zaliczam do sztuk historycznych — lub w innym kraju. Marzę o tym, by wyjść na scenę prosto z naszego, polskiego dnia dzisiejszego, z całym ładunkiem naszych trosk, niepokojów czy radości i mówić głosem współczesnego człowieka. Zdaje sobie jednak sprawę, że to jest optativus irrealis, gdyż wielu współczesnych pisarzy polskich (i nie polskich) wyгнаło kobiety ze sceny, np. Siedlecki w „Symulantach”, Chociński w „Noce opowieści”. W tej drugiej sztuce dwie kobiece role są dodatkami, obiektem, a nie postaciami działającymi. Przykłady można by mnożyć. A już kobieta starsza znikła ze sceny zupełnie.

Może byłoby interesujące zbadać przyczyny tego zjawiska. Od antyku począwszy, od Antygony, Klitemnestry, Medei, Elektry — ciągnie się poprzez wielki szereg wspaniałych postaci kobiecych mówiących głosem swojej epoki. Koniec XIX stulecia jest właściwie ostatnim okresem, w którym dramaturgia przyniosła wiele znakomych kobiecych ról, w tym galerię drapieżnych lub komicznych staruch. Wspomnijmy choćby tylko Ibsena z Nora, Hedde Gabler, panią Alving i Reginę w „Upiorach” panią Borkman (Jan Gabriel Borkman), A Strindberg, a pisarze rosyjscy Ostrowski, Gorki: — A przecież na literaturę tego okresu, zwłaszcza zachodnią, wielki wpływ wywarło dwu mizogynów: Nietzsche i Schopenhauer. Czyż to nie paradoks, że pod wpływem filozofii, wrogię kobietom, powstał repertuar — przychylny aktorkom. Ale, niestety, większość tych dziewiętnastowiecznych sztuk pozostaje dziś znakomitą literaturą, lecz przestała dzwieć w teatrze. Tematyka i klimat są zbyt odległe dla dzisiejszego widza, który nie może odczuwać i rozumieć mnóstwa imponderabilii ówczesnej epoki i środowiska, imponderabilii, które tworzą klimat i mają wpływ na bieg akcji i napięcia dramatyczne. Dlatego właśnie pomimo ponętnych ról, nie możemy marzyć o powrocie do tamtego repertuaru, bo najwspanialsze tworzywo aktorskie pozostało frapować, gdy się przeczuwa, że nie znajdzie oddźwięku na widowni.

Dzielo teatralne tylko wtedy żyje pełnym życiem, gdy scena i widownia tworzą zgrana całość. Cóż więc pozostaje nam aktorkom, zwłaszcza starszym? — Od czasu do czasu jakieś możliwości w klasycznym repertuarze, z dwudziestego wieku jeszcze Gloroux (Wariatka z Chaillet) — lub marzenie, żeby współcześni pisarze przypomnieli sobie o istnieniu kobiet powyżej lat dwudziestu.

Trzeba się trochę rozejrzeć po świecie i zauważyć, że np. wielką rolę w amerykańskim świecie finansowym odgrywała przez długie lata pani Cchang-Kai-szek, a pani Bandaranaike jest premierem; to są tylko te najbardziej głośne przykłady. Myślę, że te liczne kobiety, które są profesorami, naukowcami lub piastują na całym świecie odpowiedzialne stanowiska nie żyją na pewno w bezkonfliktowej atmosferze, pozbawionej dramatycznych napięć, które mogłyby być tematem nie tylko domowo-obyczajowym, ale ogólnoludzkim.

Nie chciałabym dojść do wniosku, że z chwilą gdy zwiędły i odpadły ustalone typy: rozkoszna naiwna (Roksy, Najdroższa Peg, Mysz kościelna) otoczona starymi ciotkami, guwernantkami itp. oraz kobieta-wamp, wyhodowana w dwudziestolecie — pisarze nie mogą jakoś odnaleźć kobiety współczesnej. Gdybym była złośliwa powiedziałabym, że niekiedy zauważają tylko „cizie”, którą czasem ubierają w kostium egzystencjalistki. Ale ja tego nie powiedziałam. Wolę się nie narażać.

HANNA MALKOWSKA

liło się ich nawet parę pod wysoką, chwiejącą się egretą...

Cóż za uroczy widok!

Zbliża się ostatnia figura kontredansa, której obawiają się zwykłe starsi nieco panowie i nie pierwszej młodości damy. Powolny stateczny rytm tańca nagle, niemal nieoczekiwanie zmienia się w szaleńczo szybką, gwałtowną galopadę. Na wprost siebie stojące panie suną ku sobie w porywisym tempie jednym bokiem, panowie przerzucają swe tancerki w ramiona swego vis-a-vis, odbierają je, porywają, unoszą, mkną w podrygach wzdłuż całej sali, zadyszani, spoceni, półprzytomni.

Wypięte turniury, olbrzymie ogony wirują, szumia, szeleszczą, mienia się, gniotą, nadymają — wypełniają aż po brzegi ogromną salę. Chwila odpoczynku. Zadyszane, nieprzytomne damy padają na krzesła. W koronkowe kryzy narzutek, w puszki labedzie, w płaskie gronostaje, czy misterne futrzane zaboty kryją złane potem ramiona i piersi. Ale obowiązek balowy znów wzywa. Polka-framblianka! Taneczne pary znów porywają się, skaczą, trzęsą się,

drgają w drzący rozmyślnie takt, wirując oszalamiająco szybko. A potem inne rodzaje tego samego ulubionego tańca: polka-galopka, już chyba od razu zadyszana, polka-mazurka, wyjątkowo rytmiczna, polka-węgierka, która ma swoje rytualne figury, wyuczone na lekcjach tańca...

I walc — walc, tańczony na trzy „pas”, przedziutko, drobniutko, z wyraźnym akcentowaniem trzycieterciowego rytmu, pośpiesznie, bez oddechu. Daleko mu jeszcze do późniejszej rozlewności, do romantycznego uroku bostona...

Mazur z hołubcami, z przyklekaniem, okręcaniem, z „koszyczkiem” i zawrotną „krakowską figurą”.

A potem, nieznanie już dziś nikomu, również „wyuczone” — „pas de quatre” — „pas de patineur”, pełne dystygowanych posunięć i wymyślnych kroków, tańczone parami wzdłuż całej sali... Małeńki, ozdobny notanik, balowy karneć, z wiszącym na jedwabnym sznureczku również ozdobnym ołoweczkim, który przy wejściu na salę otrzymuje każda dama, zawiera drukowany

spis z góry zaplanowanych przez wodzireja tańców. Obok — wpiśniane na poczekaniu nazwiska angażujących damę tancerzy. Naj-



częściej przychodzi się taki Karneć do wachlarza.

Ach tak! Zapomniałam! Najmłodniejszy przecież w tym karnawałowym sezonie 1886 roku wachlarz — to po prostu duży, misternie zasuszony liść palmy, przyozdobiony bukietami żywych kwiatów.

Spływają z niego pukle szerokiej wstążki.

HELENA DUNINÓWNA

1 Dziś — Aleja Kościuszki,



Michelangelo Antonioni

PIERWSZY BARWNY FILM ANTONIONIEGO

„Większość filmowców stwarza scenariusz, a potem szuka odpowiedniego tła do swego filmu. Ja postępuję odwrotnie. Zawsze miejsce, pejzaż, otoczenie w którym mam ochotę kręcić film rodzą temat” — tak mówi Antonioni, który od dwóch miesięcy kręci swój nowy film w Rawennie.

Rawenna kojarzy się nieodparcie z mozaikami, fontannami i piękną, starą architekturą, lecz Antonioni — twórca współczesności — wybrał Rawennę dla jej fabryk, dymów, kominów i rur stalowych. Wokół Rawenny wielki kompleks obiektów przemysłowych — rafinerii nafty, pejzaż nieco upiorny — to właśnie tło dla nowego filmu Antonioniego.

„Dotąd mój bohaterowie nie należeli do żadnego środowiska, nie mieli określonej pozycji społecznej. Tym razem jest inaczej: inżynier-elektronik, jego żona i przyjaciel także inżynier”. (W rolach głównych Monica Vitti i Ricardo Harris, aktor angielski, oraz Carlo Chionetti, notariusz z zawodu, aktor-amator). Antonioni wynajął dom należący do inżyniera i tam umieścił swych bohaterów.

Sceny nocne nakręcone przy 11 st. mrozie, nie kończą się powtórki ujęć, lecz cel osłonięty, czerwony liny z kominów na granatowym niebie. Czyż to świat stworzony dla człowieka? Antonioni mówi — „Już poeta Lucrècejuś mówił, że ten świat nie jest stworzony dla człowieka. Nie twierdź, że trzeba powrócić do natury. Widzę nawet piękno w tym, że człowiek opanował materię. Dla mnie te kominy i rury są równie wzruszające i piękne jak drzewa. Oczywiście to straszne, że ptaki przelatujące przez te dymy giną na polach, że gazy zniszczyły całą wegetację wokół na przestrzeni kilometrów, co, każda epoka wymaga ofiar, na których powstaje — nowe”.

Antonioni nie chce streszczać „Czerwonej pustyni”. Zresztą żaden z jego filmów nie nadaje się do opowiedzenia.

— Kim jest Monika w tym filmie? — To neurastenicznica, która nie ma żadnego kontaktu z rzeczywistością. Jest niemal obłąkana, coś w jej życiu spowodowało nagłą zmianę.

— Czy ten film mówi o kryzysie małżeńskim? — To sprawa szersza. Gdy zobaczyłem ten dziwny pejzaż, zastanawiałem się jaki wpływ wywarł on na żyjących tu ludzi, na ich mentalność, psychikę, uczucia. To interesujący eksperyment. I to co myślałem znalazło potwierdzenie. Nawet w szczegółach. Napisałem scenę, w której ulica została zablokowana przez dziesiątki ciężarówek, i ludzie szaleńczo nie mogąc przejechać. Mój producent uważał tę scenę za przesadną. I proszę — dokładnie to samo nas spotkało, nie mogliśmy przejechać, czekaliśmy niemal cały dzień”.

— Dlaczego ten film ma być kolorowy? — Nigdy bym go nie nakręcił w czarno-białym. Jest pomyślany w kolorze. Kolor — każdy widzi inaczej, tym można wiele wyrazić. Tak na przykład ta oszalała kobieta kupiła sklep, w którym nie wie co sprzedawać, przemalowuje go bez powodu. Ponieważ cała jej uwaga skupiona jest na malowaniu, więc garnki z farbą są kolorowe, ale ulica, która przechodził jest szara, ona jej nie dostrzega, słyszy tylko gwar.

— Zarzucają Pana inscenizację intelektualizm? — To nie zarzut, to komplement. Ale ja nie uważam siebie za intelektualistę, ponieważ wielu rzeczy nie rozumiem. Pokazuje je, stwierdzam, ale nie wyjaśniam. To ciekawe, że ten zarzut intelektualizm przychodzi zawsze z Francji, kraju najbardziej intelektualnego w świecie. Jakby być intelektualistą znaczyło być chorym. To przeraża.

Antonioni jest nerwowy, ciągle wstaje w czasie rozmowy, otwiera lub zamyka drzwi.

Gdy zacznie kręcić sceny, aktorom udzieli się nastrojów pełen lekkości i niepokoju — nastrojów jego filmów.

Gdzież jest Italia usmiechnięta i różowa? I Rawenna, która podobno kojarzy się z barwnymi mozaikami.

Wg „L'Espresso” — I. Z.

LECH BUDRECKI

„42 równoleżnik” ukazał się w roku 1930. Był pierwszą częścią trylogii „USA”. Jeśli John Dos Passos jest dzisiaj rzetelną wielkością prozy amerykańskiej lat międzywojennych, to właśnie za sprawą 42 równoleżnika, 1919 i Ciężkich pieniędzy. Za sprawą USA. A nie Trzech żołnierzy z Ameryki czy Manhattan Transfer. I nie za sprawą znacznie późniejszego District of Columbia.

USA było propozycją nowego modelu epiki. Odsłania go już 42 równoleżnik. Powieść rozpadła się tu na cztery części. Pierwszą z nich stanowi „Kronika”. W jej skład wchodzi wycinki gazet, urwane nieraz w pół słowa, dziennikarskie tytuły oznaczone formatem liter, fragmenty modnych przebiegów. Lokalizują one czas fikcyjnych wydarzeń. Czas, który w USA jest rzeczą najbardziej chyba enigmatyczną. Nie wskazuje nam zegar. Mówią o nim wydarzenia, w które uwikłana zostaje postać. Czas poznajemy tu słysząc o pierwszej wojnie światowej, o rewolucji w Meksyku, o Instytucie Sztuki w Chicago. Poznajemy go po wyglądzie miast, powstawaniu instytucji i kroju ubrań. Czas staje się jak gdyby funkcją historii. Czymś co poprzez historię — za jej jedynie pomocą — możemy uchwycić, ustalić. Ale oto zaczyna się druga część powieści. To biografie. Biografie wybitnych Amerykanów. Biografia Boba La Folette i Andrew Carnegie, i Thomasa Edisona... Każda z nich staje się biografią poetycką. Pisał je ten Dos Passos, który próbował liryki. Dos Passos poeta po-whitmanowski, zaopatrzone w wzór epitaforów Edgara Lee Mastersa. Ale rychło ustępuje on miejsca innemu Dos Passosowi. Ten jest uczniem Joyce'a, próbującym zasymilować technikę monologu wewnętrznego. Technikę, którą podchwycyła w Stanach jeszcze w latach dwudziestych, bezpośrednio po ukazaniu się Ulyssesa i która niemalże równoległe do Dos Passosa miał przyjąć William Faulkner. Miał przyjąć, w pewnym stopniu zmodyfikować, by później wyrzeknąć się jej coraz to bardziej jawnie. Dos Passos uczeń Joyce'a to już sprawa trzeciej części 42 równoleżnika. Właśnie 42 równoleżnik. Tu bowiem odgrywa ona zasadniczą rolę, która później — w tomach następnym — straci na intensywności. Ale w pierwszym tomie „USA” „Oko kamery” — ono bo-

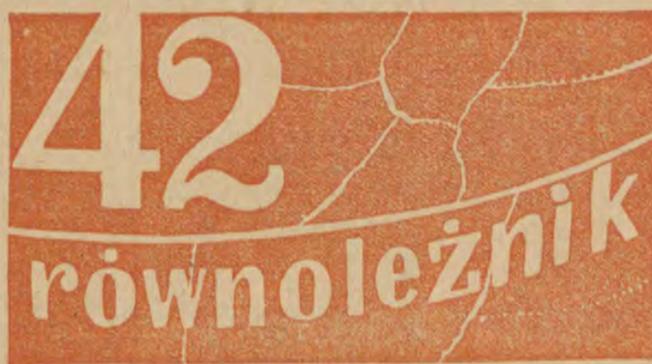
wiem jest tą trzecią częścią — stanowi jeszcze istotny składnik. „Oko kamery” wypełnia anonimowy monolog wewnętrzny. Nie wiemy czy. Nie wiemy, kto urządził w wannie bitwę o Port Artur i kto doświadczał pana Pierce. Nie wiemy nawet czy są to doświadczenia jednej czy też kilku postaci. Możemy przypuszczać, że ich chronologia koresponduje z chronologią „Kroniki”. Jednakże przypuszczać, tylko przypuszczać. Czwarta część 42 równoleżnika to część z pozoru najbardziej tra-

opowiadał. Ale historia Janey czy Charley Andersona nie jest krypto-autobiografią postaci. Tak, narrator ukrywa się poza horyzontem poznawczym bohatera. Ale nie ukrywa się tak doskonale jak można by przypuszczać na pierwszy rzut oka. Wie więcej aniżeli ten, o którym opowiada. Lecz przystosowuje swą wiedzę do kategorii, do schematów, w jakie ujmuje świat czy to Janey, czy to Charley Anderson. Nie utożsamia się z nimi. Opowiada wydarzenia ex post. Z pozycji, która nie mie-

sz, tak jak tradycją Joyce'a, był Flaubert. Była zasada powieści „obiektywnej”. Przez obu inaczej odczytana. Inaczej przyjęta. Punkt wyjścia jednak był tu wspólny.

Bohater Dos Passosa przesuwa się poprzez doświadczenia. Jest wobec nich bezzilny. One go kształtują, tworzą. Bohater jest plastyczny. Jest ulepiony z tego, co mu się przydarzyło. Jest biografią, swoim własnym życiorysem. Nie zdaje sobie sprawy, nieświadomy tego, co nim steruje. I co o nim samym rozstrzyga. Nie zmienia się. Na dobrą sprawę, nie ma w nim nic, co by mogło się zmienić. Jego świadomość zaludnia stereotypy. Te czy inne — zawsze stereotypy. Bez trudu można je zastąpić innymi. Bohater USA nigdy bowiem nie jest kimś ukształtowanym do końca. Bohater dzieje się, każdego dnia gotów na modyfikację. Nie zauważa jej. Nie zanotuje nawet, pozbawiony samowidczy, wydany zdarzeniom. Jakby pchnięty, jakby rzucony w zdarzenia. To one go kontrolują. Bohater Dos Passosa jest produktem zdarzeń, produktem miejsca i czasu. Środowiska, w którym wyrósł i na- de wszystko środowiska, w którym się obraca. Od takich jak on różni go układ indywidualnych przypadków. Różni biografia. Za- ledwie biografia. I nie ponadto. Nic więcej.

I tu nowa formuła powieści epickiej przestaje być formułą spójną. Miała transponować na materię prozy efekty filmu. Miała konstruować pełny obraz Ameryki. Pełny — przynajmniej w autorskim zamierzeniu. Miała wreszcie łączyć powieść „obiektywną” z poetyckim „okiem kamery” i par excellence poetycką biografią. Biografia została popisem retora, wychowanego na Whitmanie. Retor to znakomity, zakochany w przeciwstawieniu, gotów wiele poświęcić dla przeciwstawienia i wiele dla niego poświęcający. Z miłości do symetrii. Miłość do symetrii kończy się tam, gdzie zaczyna się powieść obiektywna. Tam nie ma miejsca na igranie onoczyjami, na przymierzanie Carnegiego do Billa Heywooda. Tam otwiera się powieść o Macu, Charley Andersonie i Joe Ward Moorehouse. O tych, którzy są tylko socjologicznym wytworem. Których świadomość jest sumą przywianych stereotypów. Nie wykrocza poza to. Nieświadomi, niewiedzący. Ci, którzy różnią się tylko perypetiami, tym, co się przydarzyło... Bohaterowie wielkiej trylogii Johna Dos Passosa,



dycyjna. Powtarzam — z pozoru. To narracja — układ kilku fabularnych wątków, niekiedy luźno kontaktujących się ze sobą. To domena Dos Passosa, który przeczytał Flauberta, i który Flauberta zrozumiał.

Sartre twierdził, że Dos Passos wynalazł nową technikę opowiadania. Przede wszystkim jednak wynalazł on nowego narratora. Narrator opowiada o losach bohaterów, percypując je jakby poprzez ich świadomość. Każda z sekcji narracyjnych USA ma główną postać. W 42 równoleżniku jest nią Mac, Janey, Eleanor Stoddard, Joe Ward Moorehouse i Charley Anderson. Narrator opowiada ich historię. Mówi od siebie. Ale za każdym razem mówi to tylko, co wie postać. Ta postać, o której opowiada. Za każdym razem horyzont poznawczy narratora zbliża się ku horyzontowi poznawczemu bohatera. Tak, to jeszcze nie nowość. To stary pomysł Flauberta, choćby z Pani Bovary. To idea Henry Jamesa, eksplloatowana przezeń nie zawsze konsekwentnie choćby w Ambasa-dorach, choćby w Skrzydłach gołębia, zyskująca zresztą swoje teoretyczne uzasadnienie w przedmowach, którymi poprzedzał zbiorowe wydanie swych powieści i

ci się w obrębie żadnej z relacjonowanych historii. Jego opowieść nie jest „przedstawianiem” czy to wydarzeń fizycznych czy też wydarzeń świadomości. To relacja przerywana „scenami”. Nie chce ona odtwarzać doświadczenia. Chce je opowiedzieć. Konceptualizuje doświadczenie i nie ukrywa konceptualizacji.

Sekcje fabularne 42 równoleżnika układają się w powieść „obiektywną”. Nie darmo narrator adaptuje tu kategorie poznawcze postaci. Dopiero zderzenie poszczególnych opowieści odsłania tu schemat interpretacyjny Dos Passosa. Nie tylko zderzenie. Odsłania je rodzaj, typ konceptualizacji. Konceptualizacja narratora — w tym wypadku wybór fikcyjnych wydarzeń, wypisywanie ich w szerszy kontekst „zabija” Ward Moorehouse'a. I broni Maca. A raczej usprawiedliwia.

Napisałem, że Dos Passos przeczytał Flauberta, i że Dos Passos Flauberta zrozumiał. Podrzymuje to. Podrzymuje w całej rozciągłości. Powieść „obiektywna” Dos Passosa jest bowiem flaubertowskiej proveniencji. Odwołuje się do flaubertowskiego modelu prozy. Modyfikuje go. Modyfikuje znacznie. Ale tradycją Dos Passo-

HAMLET nie ma RACJI

Taki tytuł ma sztuka Margit Gaspar, popularnej węgierskiej pisarki. Czy podejmuje ona polemikę z Szekspirem? Bynajmniej. Hamlet tu jedynie w tytule. Prawdopodobnie jako środek uatrakcyjniający, zresztą pozornie uatrakcyjniający. Bo ta dekoracyjna wtrótność tylko zaciemnia całkiem realistyczną i prostą treść współczesnej sztuki. Między innymi skusila naszego scenografa do umieszczenia akcji w makielicie zdemolowanego pokoju (stłuczone witrażowe szyby, jak to bywa na zanieczyszczonych klatkach schodowych, na ścianie wykruszony częściowo i zatarty cementem tynk), co podobno ma nasuwać aluzję do zamku w Elzjnorze (!).

Tragizm księcia duńskiego polega na przeroście refleksji nad czynem. Tymczasem młody bohater sztuki, Gabi wcale nie myśli — robią to za niego inni z życzliwie usposobionego otoczenia, a w krytycznych chwilach przypomina on sobie zastyszane w dzieciństwie maksymi swego ojca. Słepo czuje jego pamięć i nie chce wiedzieć, że Iszlar Tarnok w okresie minionym nadużywał władzy, posyłając na śmierć niewinnych ludzi. Ten cień ojca Hamleta wcale nie wygląda na pocziwego, szekspirowskiego ducha — za życia mylił podobno ostrożność z nieufnością, a nieufność z nienawiścią. Jedną z jego ofiar, Gabor Mike, który tylko przypadkiem uszedł śmierci, wprawdzie zajmuje obecnie miejsce Tarnoka w ministerstwie i w sercu matki Gabiego, ale i on nie wygląda na Klaudiusza, a raczej na ratującego sytuację zbawcę Fortynbrasa. Gabi zwalcza go odruchowo, w drobiazgach, wy-

czuwa bowiem instynktem, że sama postać Mike jest przeciwstawną nieprzejędną postaci ojca. Gdy dowiędzie się, że ojciec zwątpiłszy w końcu o słuszności swego postępowania, popełnił samobójstwo — zalamie się i uwikła w awanturę ucieczki na zachód. Ostatecznie Mike pokazuje Gabiemu list ojca napisany przed samobójstwem, w którym Tarnok przyznaje się do popełnionych błędów — następuje psychiczny wstrząs, ły chłopca w objęciach matki, słowem — katharsis pod kurtyną.

Nie tylko jednak tytuł wywołuje pewne opory — jej kompozycja! Utwór zaczyna się od ostatniej sceny, sceny decydującej rozmowy Gabiego z Gaborem Mike. Do niej powracamy jeszcze kilka razy, ponieważ właściwa akcja jest w założeniu autorki retrospekcją na tle tej rozmowy. \ ostatnim akcie scena się powtarza już na właściwym miejscu i zostaje po raz drugi zagrana przez aktorów. Koncepcja byłaby ciekawa, gdyby nie zaprzeczal jej każdy ruch, każde słowo aktorów, wobec akcji realistycznej, logicznej, konsekwentnej i jak najbardziej realistycznie na scenie odtworzonej. Chyba, że sztukę należało wystawić inaczej — w konwencji antyszuki (bo w pomysł jest z pewnością coś z doświadczeń antypowieści).

Mimo wszystko dobrze się stało, że Teatr Powszechny podjął się wystawienia tej sztuki. poruszającej tematykę aktualną. Odbija ona nastroje węgierskiej młodzieży — współczesnej, z tą poprawką, że sztuka napisana w roku 1958 odtwarza sytuację z roku 1955. Przedstawienie odznacza się starannością adaptacji scenicz-

nej. W rolach kluczowych: Lucjan Wiernek (Gabi) i Ewa Zdenezyska (jego matka). Gabora Mike gra Bohdan Sobiesiak, niedoświadczoną studentkę zakochaaną w Gabim — Alicja Knast. Reżyserował Andrzej Witkowski. Anatol Radzinowicz z dużym wdziękiem zdemolował mieszka-

nie Tarnoków — jak już wiemy — na wzór rezydencji królów duńskich.

Teatr Powszechny: Margit Gaspar, „Hamlet nie ma racji”, sztuka w dwóch aktach, przekład Elli Marii Sperlingowej.



Alicja Knast i Lucjan Wiernek w sztuce „Hamlet nie ma racji”
Fot. F. Myszkowski

zdarzenia relacje komentarze

Kto jest autorem scenariusza do „Mostu na rzece Kwai”?

Noworoczny numer paryskiego „L'Express” przynosi swego rodzaju rewelację. Jest nią wywiad z dwoma znanymi scenarzystami hollywoodzkimi — Michaielem Wilsonem i Daltonem Trumbo. Obaj są współpracownikami najsłynniejszych amerykańskich wytwórni filmowych, o obu głucho było w amerykańskim filmie przez dziesięć lat. Nazwisko Trumbo nie figurowało w czołówkach „Spartakusa” i „Exodusu”, nazwisko Wilsona ani w „Moście na rzece Kwai”, ani w głośnym filmie „Laurence z Arabii”. Zaden z nich przeciw tym

faktom nie protestował. Dlaczego? Wilson odpowiada: „Ponieważ był to dla nas jedyny sposób, by w ogóle zrobić filmy”.

Historia bierze swój początek w roku 1938, w chwili utworzenia przez Kongres Stanów Zjednoczonych Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej. W roku 1947 Komisja wkroczyła jawnie w dziedzinę twórczości filmowej. Producentów, reżyserów, scenarzystów i aktorów postawiono wobec konieczności „zweryfikowania” swojej postawy w stosunku do państwa i oficjalnego odżegnania się od „propagandy antyamerykańskiej”, choćby propaganda owa była tylko pozorem, lub nie było jej wcale. Wtedy właśnie Trumbo i Wilson (który odmówił odpowiedzi na pytanie — „czy jesteś komunistą?”) zostali wpisani na czarną listę Komisji i przestali się liczyć w filmowym świecie. Nie zaprzestali jednak pisać dla fil-

mu. Z początku były to filmy pośledniej rangi. Później, gdy senatorska działalność McCarthy'ego nieco zelżała, łatwiej było pisać dla wybitnych reżyserów. Oczywiście, przez cały czas pod pseudonimem, lub kryjąc się za nazwiskami przyjaciół. Było to konieczne, jeśli się zważy, że Trumbo, oskarżony o obrazę Kongresu, przesiedział rok w więzieniu. Obaj scenarzyści oświadczyli zgodnie, że mogli pisać i liczyć na użytkowanie swoich scenariuszy tylko dzięki życzliwości tych, którzy zgodzili się na współpracę z Komisją. Mimo sporych dochodów płynących z filmów, w których uczestniczyli nieoficjalnie, Wilson i Trumbo traktują dziesięć minionych lat jako czas bezpowrotnie stracony. Trudno się temu dziwić. W okresie politycznej inkwizycji dwa spośród ich filmów otrzymały Oscara, a jeden został nagrodzony Złotą Palmą.

60-LECIE KARASŁAWOWA

Niedawno ukończył 60 lat jeden z najbardziej znanych prozaików bułgarskich, G. Karasławow, autor powieści: „Synowa”, „Blekot”, „Zwyczajni ludzie”, „Przebudzenie”.

Karasławow zakończył pracę nad „Wyzwoleniem — trzecią częścią cyklu poświęconego walce klasy robotniczej z faszyzmem, pierwsze dwie części to właśnie „Zwyczajni ludzie” i „Przebudzenie”. Przygotowuje część czwartą, której ukończenie zapowiada na rok bieżący. Karasławow pracuje nad powieścią „Macocho”, rozpoczyna dwadzieścia lat temu, przygotowuje tom szkiców o socjalistycznym budownictwie i sztuce współczesną.

FILM WEDŁUG „CISZY”

Z wypowiedzi Jurija Bondariewa, autora chętnie czytanej i u nas powieści „Cisza”, dowiadujemy się, iż została zakończona praca nad filmem, osnutym na temacie utworu, dotyczącego powrotu z wojny i adaptacji w życiu pokojowym, paraliżowanym przez stalinizm. Bondariew chwali sobie współpracę z reżyserem W. Basowem, który należy do jego pokolenia i był uczestnikiem podobnych doświadczeń historycznych. Jednocześnie Bondariew zapowiada nową powieść „Ich dwoje”, stanowiącą w pewnym sensie dalszy ciąg

„Ciszy”. Pracował nad nią trzy lata.

POEMAT

MOJEJ MŁODOŚCI
Zarząd warszawskiego oddziału Rosyjskiego Stow. Kulturalnego wydał tom wierszy Jerzego Sorgonina pod powyższym tytułem. Ur. w 1904 roku poeta rosyjski jako dziecko znalazł się w Polsce, ukończył wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Jego debiut książkowy ukazał się w 1933 roku w Estonii.

Sorgonin niedawno został przyjęty w poczet członków Zw. Literatów Polskich. W tomiku znajdujemy m. in. wiersz pt. „Władstawowi Broniewskiemu”.

LOTERIA

W marcu odbędą się w Moskwie ciągnienie „wszechzwiązkowej loterii artystycznej”.

Tablice wygranych opublikują „Izwestia” i „Sowiet-skaja kultura”.

W ten sposób niejedna na bywca biletu loteryjnego stanie się posiadaczem obrazu, grafiki, rzeźby lub innego dzieła sztuki.

A może i u nas powołane do tego związku i instytucje zechcą zastanowić się nad tą formą upowszechniania malarstwa i grafiki? Byłoby to z korzyścią dla twórców i dla ewentualnych nabywców losów loteryjnych!

ROCZNICA URODZIN TARASA SZEWCZENKI

Literacka prasa radziecka w dalszym ciągu informuje o zakrojonych na szeroką skalę, zwłaszcza na Ukrainie, różnorodnych — naukowych i edytorskich — przygotowaniach do 150 rocznicy urodzin autora „Kobzarza”. W maju, na Ukrainie odbędą się przy współudziale UNESCO międzynarodowy kongres uczonych i działaczy kultury, związany z rocznicą.

ULTRAKRÓTKIE OPOWIADANIA

Kiedy pracował w redakcji, jego artykuły nazywano „beletrystką”, kiedy zaś stał się zawodowym beletrystą, zaczęto o jego książkach mówić „To nie powieść, ale publicystyka”.

Z radością przeczytał o sobie w recenzji: „Jego książkę ciepło przyjęli czytelnicy”. Ale zmarł w dniu, gdy przeczytał o innym pisarzu: „Jego książkę gorąco przyjęli czytelnicy”.

Pisarz tak wiele uwagi poświęcał urządzeniu sobie życia i tak mało swojej twórczości, że koledy o nim mówił: „Życie wyrwało go z naszych szeregów”, „Ultrakrótkie opowiadania”, z których ułożyliśmy „ultraszczupłą antologię” na leżą do Anatolija Wołkowa.

Problem murzyński

Prawie jednocześnie ukazały się cztery książki poruszające ten sam temat — problem czarnych w USA. Nie znaczy to, że mówią o tym samym — raczej uzupełniają się.

Autorem dwóch z nich jest James Baldwin. Ten młody pisarz urodzony w Nowym Jorku w 1924 r. zyskał sobie wielką sławę w USA wydaniem w roku 1959 opowiadaniem „Nikt nie zna mego nazwiska”. Pisząc odczuwał i przeżywał wspólny ze swymi czarnymi braćmi los, dzielili go z nimi i zarazem uczyli, uświadamiali i zagrzewali do walki o równouprawnienie. Ocena on wysoko odpowiedzialność pisarza, jako tego, którego obowiązkiem jest zmuszać społeczeństwo do rewizji utartych poglądów do samokontroli, i samooceny. Opisuje on żywo i z pasją system

segregacji rasowej — samotność i nienawiść. Rzuca jasną światło na trudności życia „czarnego” w społeczeństwie amerykańskim. Dlatego uchodzi on za lidera sprawy murzyńskiej.

„W Ameryce kolor mej skóry — mówi Baldwin — oddziela mnie od mego prawdziwego ja. W Europie ta bariera znika”.

W jego książce „Następnym razem ogień” opisy i refleksje prowadzą do gwałtownego i gorzkiego wybuchu: „Nie pozostaje nam nic innego jak zrobić wszystko co w naszej mocy, by zmienić naszą sytuację nawet za cenę więzienia, tortur i śmierci”.

Do podobnych konkluzji dochodzi Luis Lomax w „Rewolucji czarnych”.

„Od pięciu lat wyrażam nadzieję, że Biali nauczą się kochać, zanim Czarni nauczą się nienawidzić”.

Luis Lomax — prof. filozofii na Uniwersytecie w Savannah, także Murzyn jak Baldwin, niemniej wrażliwy od niego, jest jednak jego prze-

ciwieniem. To co u Baldwin jest literaturą, u Lomaxa chłodną oceną sytuacji i racjonalną oceną możliwości. W książce Stanów Zjednoczonych, uzasadnia przyczyny istniejącego stanu rzeczy i wskazuje otwierające się dziś możliwości przed amerykańskimi Murzynami. Jest to bardzo wnikliwa książka.

Trudno rywalizować z tymi dwoma pisarzami murzyńskimi Francuzowi Danielowi Guérin autorowi „Decolonisation du Noir américain”. Przy największym talencie i sympatii jako komentator europejski pozostaje zawsze obserwatorem na uboczu i nie jest w stanie zgłębić, jak tamci, tego piekła życia. Daniel Guérin, marksista przemawia za to bardziej do mentalności i intelektu Europejczyka. W konkluzji wszystkie cztery pozycje, każda innymi środkami wyrazu, poruszają w sposób interesujący i żywy problem murzyński.

I. Z.

Paustowski o rzemiośle pisarskim

Autorem „Złotej róży”, poświęconej zagadnieniom warsztatu i pracy pisarskiej, wydanej także i po polsku, znowu powraca do niektórych spraw z tego kręgu na łamach miesięcznika „Woprosy literatury”.

Przypominając, iż pracuje nad drugą częścią „Złotej róży” podkreśla, że aktualnie rozmowa o rzemiośle jest szczególnie ważna, bowiem obserwujemy jego lekceważenie zarówno przez samych pisarzy jak i przez krytyków.

Ponieważ stale toczy się spór, dotyczący sposobów gromadzenia materiałów i doświadczeń, żyjących twórczość, Paustowski ostrzega przed próbami zamienienia

pisarza w magnetofon i jednocześnie aparat fotograficzny: „Nie obserwować trzeba, ale żyć i żyć w gąszczu spraw”.

Wspominając o notatkach i zapiskach Czechowa, Twaina i innych, Paustowski zauważa, iż najsukcesyjniej selekcjonuje jednak sama pamięć pisarza, notatki mogą prowadzić do zbytnej „detalizacji”.

Mimo spełnienia wszystkich warunków wstępnych, nie będzie książki — snuje swoje rozważania Paustowski — jeżeli autor nie umie pracować nad słowem. Ostrzega przed językiem urzędowych sprawozdań, nawołuje do czynnego stosunku do słów, do upodobania i nienawiści.

„Słowo żyje pełnym życiem tylko w otoczeniu innych słów. Oddziaływanie dwóch zdań, złożonych z tych samych słów, może być krainą różną: albo irytujące albo też (przy prawidłowym uporządkowaniu słów) wielkie i wstrząsające”.

Wbrew licznym wypowiedziom, skierowanym przeciwko dialektom i prowincjonalizmowi, Paustowski oświadczył: „Pisarz ma pełne prawo do korzystania ze wszystkich zasobów językowych niezależnie od ich wielkości i „miejsca zamieszkania”, byleby tylko sprzyjało to wyrazistości w przekazywaniu myśli autorskiej, silie wyrazu i obrazowości”.

Obrzymie znaczenie przywiązuje wybitny pisarz do niemal nieustających poprawek w tekście, przypominając praktykę Izaaka Babla i z dalszej przeszłości — Andersena.

Paustowski nie wyobraża sobie prozaika, który „nie lubiłby i nie znał poezji”. W dodatku — z wrogiem niekiedy zdziwieniem patrzy na prozaików, „którzy nie tylko nie znają, ale i nie lubią malarstwa”. Dopatrul się w tym czegoś nienaturalnego.

„Ludzie umieją patrzeć, artyści zaś nie tylko patrzą, ale widzą”.

HALINA KORBIK

Dawno nie było w Łodzi tak trapijącej kolorystycznie i tak wyrównanej, jeśli chodzi o poziom, wystawy. Prace Haliny Korbik — nastrojowe, wywodzące się chyba gdzieś z kręgu ekspresjonistów, na pewno będą się zwiędziały podobnie i już dziś wpisują w księdze uwag tę prognozę potwierdzają. Wśród 24 prac naliczyliśmy

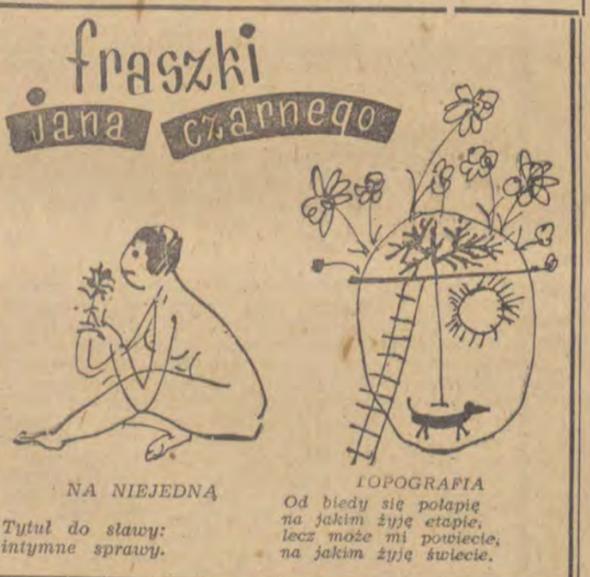
aż 15 kobiecych portretów, z których wyróżnić na pewno można bieżący „Portret z lustrami” czy brązowo-białe „Portret z pejzażem”. O tej ciekawej, barwnej ekspozycji napiszemy jeszcze obszerniej, ale już dziś zachęcamy naszych czytelników do odwiedzenia salonu Biura Wystaw Artystycznych przy ul. Piotrkowskiej 102.

INAUGURACJA NIEUDANA

(z przyczyn technicznych)

Uroczyste Dni Klubowe obchodzone w styczniu każdego roku w związku z rocznicami powstania Klubu Studentów w Łodzi miało inaugurować 23. I. br. spotkanie studentów z dziennikarzami. Spotkanie było zaplanowane jako wieczór dyskusyjny i miało dać odpowiedź na pytanie: czego kilkunastotysięczna rzesza studentów łódzkiej oczekuje od łódzkiej prasy? Z drugiej strony dziennikarze mieli okazję zorientować się dokładnie w bogatej problematyce studenckiej.

Piszę to wszystko w trybie przypuszczeniowym, ponieważ spotkanie nie odbyło się. Z około 20 zaproszonych dziennikarzy zjawili się tylko przedstawiciele „Dziennika Łódzkiego” i przedstawiciele naszej redakcji. Jak powiedział kierownik programowy Klubu Studentów w Łodzi, Ryszard Zubaczyński, ze smutkiem odwołując spotkanie, redaktorzy byli zajęci przygotowaniami do sesji egzaminacyjnej...



NA NIEJEDNA
Tytuł do sławy: intymne sprawy.
LOPOGRAFIA
Od biedy się poląpie na jakim żyje etapie, lecz może mi powiecie, na jakim żyje świecie.

POLOINICA

AMERYKAŃSKI PISARZ POLSKIEGO POCHODZENIA

Richard Bankowsky wydał powieść pt. „After Whitsuntide” (Po Zielonych Świątkach) o życiu Polaków w New Jersey. Akcja powieści dzieje się w ciągu dwóch dni latem 1946 roku, ale w partiach retrospektywnych autor cofa się w czas wcześniejszy np. opisuje wydarzenia z 1926 i 27 roku we wsi Pogórze w Polsce. Jest to właściwie powieść z życia dwóch rodzin: Nowaka i Groszka, którzy zresztą są braćmi. Powszednie bytowanie z jego brutalnością stało się głównym motywem powieściowego zapisu. Mieszkańcy amerykańskiej wioski Prescott (w przeważającej

większości Polacy) wiedzą, co czynią, ale nie wiedzą, kim są, a kiedy zdobywają świadomość swojego losu, jest za późno, aby działać według jej wskazówek.

Krytyka przyjęła utwór amerykańskiego pisarza polskiego pochodzenia z uznaniem, podkreślając nie tylko treść, problematykę i walory stylistyczne, ale również ciekawe eksperymenty w zakresie czasu powieściowego. „Po Zielonych Świątkach” przetłumaczono już w Niemczech zachodnich, a w przygotowaniu znajduje się francuskie wydanie tej książki.

ZNAWCA CONRADA

Herman Stresau, zamieszkały w Göttingen krytyk li-

terański i teatralny, obchodził w styczniu br. 70-lecie swoich urodzin. Fakt ten nie zająłby naszej uwagi (lubiłby ją ktoś tam „lecia”, gdyby nie to, że Stresau opublikował przed wojną monografię o Józefie Conradzie „Der Tragiker des Westens” (Tragik Zachodu), która obecnie ukazała się w nowym wydaniu. Monografia ta uchodzi, według opinii krytyki, za najlepszą książkę o Conradzie na obszarze niemieckiego języka. Najdowodniej świadczy o tym fakt, że nowe jej wydanie jest już wyczerpane.

Skorą mową o Conradzie, warto dodać, że wiosną tego roku Fischer Verlag we Frankfurcie nad Menem wydał antologię pt. „Stimmen zu Conrad” (Głosy o Conradzie), zawierającą prace różnych autorów niemieckich i innych o twórcy „Lorda Jima”.

EWA CHCE SPAC

Tygodnik „Deutsche Volks-

zeitung” (Düsseldorf) drukuje w numerze z 17 stycznia br. obszerną recenzję o filmie „Ewa chce spać”. Autor, Rolf Traube, kończy swoje wywody słowami: „Ironia i żart nie są tutaj wyważane po aptekarsku. Niejedną z starych gagów z epoki filmu niemieckiego tutaj swoje odrodzenie. Młody polski reżyser, Tadeusz Chmielewski, pokazał ten film po raz pierwszy w 1957 roku. Zawarta w filmie satyra na obyczajną milicję wystawia dobre świadectwo nie tylko jego autorowi, lecz również państwu socjalistycznemu, które nie boi się krytyki”.

SZTUKA SKOWRONSKIEGO W TELEWIZJI BREMEN

W „Die Welt” z 18 stycznia br. znajdujemy w cotygodniowym felietonie o programie telewizyjnym NRF kilka słów na temat utworu Zdzisława Skowronskiego „Le-

benskünstler” (Artysta życia), który nadała stacja telewizyjna w Bremen w inscenizacji Karla Fruchtmanna. Ocena sztuki Skowronskiego wypadła raczej ujemnie, w czym — zdaniem krytyka — zawinił również reżyser.

„TANZ MAKABRE”

Nowa książka Hansa Hellmutha Kirsta autora „08/15” i „Fabryki oficerów” rozpoczęła się w okupowanej Warszawie w roku 1942, gdzie podejrzani o zabójstwo kobiety-szpiega są trzej znani generałowie hitlerowscy, z Warszawy akcja przenosi się do Paryża roku 1944, a epilog ma miejsce w Berlinie w roku 1956. Na tle żywej i pełnej emocji akcji, autor maluje tło środowiska hitlerowskiej Abwehry i Gestapo, oportunistów i technokratów ich dygnitarzy, zakłamanie i korupcja, ponure metody nazistowskiego systemu. Daje obraz absurdalności i potwor-

DWUDZIESTOLECIE

„Literaturna Gazieta” pisze o dwudziestym rocznicy wyzwolenia Polski, Bulgarii i Rumunii, która przypada na rok bieżący. W związku z tym przedrukowuje kilka wyznań pisarzy tych krajów na łamach odczytanych pism literackich.

Jeśli chodzi o naszych pisarzy, przytacza urywki wypowiedzi J. Iwaszkiewicza, St. Wygodzkiego, T. Holuja i J. Zawieyskiego.

POLOINICA

XAWERY DUNIKOWSKI

1875 - 1954

Uczeń Konstantego Laszczki i A. Dąbna. Wielki nowator, artysta, który w namacnym poszukiwaniu środków wyrazu bez wahania czerpał z wielu nurtów sztuki nie tylko im ulegając, lecz wyciskując na nich piętno własnej, niezwykłej osobowości. Wielki humanista, w twórczości którego tematem naczelnym stał się człowiek i dramat jego istnienia. Patriotą, który nie złamany przez wojnę i obozy koncentracyjne do ostatnich dni swego życia rozświatlając sztukę polską, nadając jej rangę światową.

Niezmiernie, przeszło 60-letnia twórczość Dunikowskiego wykreśliła etapy rozwoju sztuki polskiej przełomu XIX-XX wieku. Począwszy od impresjonizmu, poprzez młodopolski symbolizm i ekspresjonizm zadokumentowane wspaniałym cyklem realizmu psychologicznego, który zastawił nam wspaniałą rzeźbę portretową, m. in. „Głowa Adama Mickiewicza” (1908), poprzez wnikliwe zainteresowanie antyką i klasycyzmem, czego świadectwem jest dzieło tej klasy o „Głowa śpiącego greckiego” (1918), wchodzi Dunikowski na drogę nową, własną. Drogę tę cechuje metaforyczna koncepcja treściowa oraz nowa forma rzeźbiarska, charakteryzująca się surową architektoniką planów. Monumentalny styl rzeźbiarski, który po raz pierwszy pojawił się w „Grobowcu Bolesława Śmiałego” (1917), nie opuścił go już do końca i znalazł swój największy i ostateczny wyraz w wielkich założeniach pomnikowych lat ostatnich, takich jak pomnik Powstańców Śląskich na Górze św. Anny i inne.

Dunikowski był w pełnym znaczeniu tego słowa artystą narodowym. Nad całym jego ogromnym dorobkiem lat 1910-1939 dominują wyraźnie, pod względem treściowym i formalnym, kompozycje świadczące o przywiązaniu ogromnej wagi do historii i kultury narodowej. Dobrym tego świadectwem są znane „Głowy Wawelskie” (1925-1928), projekt pomnika Adama Mickiewicza i inne. Jest to, jak zauważył Juliusz Starzyński: „...wielka opowieść o ludzkiej Polsce dawnej i współczesnej — wyłożona językiem plastyki nowoczesnej, w którym jednak pobrzmiewają dostojne tony polszczyzny Reja i Kochanowskiego na równi z Mickiewiczem”.

Przeżycia okupacyjne artyści znalazły swój wyraz w dramatycznym cyklu pt. „Oświećmy” (1948). Są to przeważnie obrazy, nacechowane niezwykłą ekspresją, dająca z jednej strony wstrząsający obraz bestialstwa, z drugiej — szlachetnej siły człowieka stojącego do walki o własną godność, o wolność i ojczyznę.

W zmarłym artyście straciłmy jednego z największych rzeźbiarzy polskich, który w historii sztuki polskiej i światowej pozostawił ślad niezatarty.



T. B.

JAN KOPROWSKI

KSIĄŻKA WSPOMNIEN O TUWIMIE

Nie książka, lecz duża księga, licząca blisko pięćset stron druku z licznymi ilustracjami w tekście. Tak, tej książce bardzo nam brakowało. Jest ona doskonałym przypomnieniem barwnej postaci naszego życia literackiego, zapisanej w pamięci (a teraz i na papierze) przyjaciół i bliskich poety. Jest to pierwsza publikacja o Tuwimie, z której tak wiele dowiadujemy się o nim jako o człowieku. Bo o to przecież chodziło, by autora licznych zbiorów wierszy, satyr i przekładów przybliżyć wyobraźni czytelnika. Od śmierci Tuwima minęło w grudniu ub. roku lat dziesięć. Pisma literackie podjęły raz jeszcze ocenę jego twórczości, przypomnieli jej walory i zwrócili w jednym wypadku ostrzej, w innym — łagodniej uwagę na to, co w tej poezji się zestarzało lub traci myślę. „Wspomnienia o Julianie Tuwimie”, wydane nadzwyczaj starannie przez „Czytelnika”, nie zajmują się oceną jego dorobku, choć i na ten temat wypowiedzi autorzy poszczególnych artykułów. Z kart księgi wyłania się Tuwim jako człowiek o do- brym sercu i rozległych zainteresowaniach. Nie można oprzeć się przekonaniu, że w Tuwimie było coś z dziecka. Cieszył się życiem, przepełniony był zachwytem dla świata, jego euforia, która w wielu wypadkach się sztuczna, stanowiła istotną cechę osobowości poety.

Trudno sobie już dziś wyobrazić, że ten człowiek odpisywał na każdy list. Zjemy przecież w epoce, w której list znika z życia i z kart literatury. Ubywa nam wspaniałe obszar pisarstwa, którym jest (a raczej była) sztuka epistolarna. Listy Elżby Orzeszkowej oblicza się na dziesięć tomów, listy Stanisława Przybyszewskiego — na trzy, zbierze się tych listów sporo i u Juliana Tuwima. A co będzie w przyszłości? Czy pozostaną jakieś ważne i wartościowe publikacje listy po pisarzach? A może to lepiej, że tych listów nie będzie. Z papierem coraz gorzej, więc na czym wydawać zapiski epistolarne poetów i powieściopisarzy!

Jest tych wspomnień w księdze o Tuwimie równo pięćdziesiąt. Piszą o nim ludzie pióra i ludzie teatru, piszą rysownicy i rzeźbiarze, piszą najbliżsi z jego kręgu rodzinnego. Dowiadujemy się wiele o jego rodzicach, o jego dzieciństwie i młodości, o latach szkolnych, o pobycie w Łodzi i w Warszawie, a także w Ameryce na emigracji, z której tęsknił do kraju i przeżywał kompleks „nieuczestniczenia”. Wśród autorów mamy również dwóch towarzyszy, nieżyjących już: Romana Zrębowicza, który odszedł od nas w roku ubiegłym i Stanisława Chrzączewskiego, którego pochowaliśmy przed kilkoma dniami. Redaktorem „Wspomnień” Wandzie Jedlickiej i Marianowi Toporowskiemu, wypadnie postawić zarzut, że nie postarali się o zapiski Mariana Piechała. Trudno sobie właściwie wytłumaczyć brak tego nazwiska w omawianej księdze. Piechała lata całe związany był z Tuwimem. Tuwim wylansował go jako poe- te, spotykali się często zarówno w Łodzi, jak i w Warszawie, i autor „Krzyku z miasta” z pewnością wiele ciekawego powiedziałby o autorze „Kwiatów polskich”. Nie stało się tak. Wielka szkoda.

Ze wszystkich wspomnień, o których tu mówię, najbardziej podobają mi się następujące: Jana Brzechwy, Jerzego Ficowskiego, Ili Erenburga, Haliny Kosskowej i Wacława Zawadzkiego. Brzechwy dlatego, iż pisze skromnie, prosto i tak, że mu się wierzycie we wszystko. Jest rzeczowy, ale zarazem ujmujący, z „Okruhów wspomnień”, jak nazywał swoje zapiski, wyłania się żywy obraz Tuwima. Ficowski pokazuje Tuwima jako cyganologa, a więc od tej strony, którą znamy mało. Autor „Cyganów polskich”, choć o wiele lat młodszy od Tuwima, zyskał sobie jego przyjaźń i sympatię i potrafił nam w swoim wspomnieniu odtworzyć atmosferę spotkań i rozmów z poetą, w którego dorobku znajduje się tom wierszy pt. „Biblia cygańska”. Ciekawe są wspomnienia Erenburga, który spotykał się z poetą w Berlinie, Warszawie, Paryżu i Moskwie. „Namiętnie kochał rodziną Łódź, miasto, które mniej niż jakiegokolwiek inne nadawałoby się do pokochania” — pisze o Tuwimie Erenburg.

Nade wszystko jednak wyróżniam wspomnienie Haliny Kosskowej, długoletniej sekretarki pisarza, opublikowane pt. „O moim szefie”. Tuwim nazywał siebie żartobliwie jej szefem i podawał sekretarce takie np. wiadomości przez telefon lub na piśmie: „Szef jest dzisiaj niedysponowany, obywała sekretarka ma wychodne”. Dopiero w tym wspomnieniu widzimy Tuwima jak na dłoni, w jego dniu powszednim. Był to człowiek o dużym poczuciu humoru, pracowity, o świetnych pomysłach, życzliwy i uczynny. Jego wrażliwość na niedole ludzką była doprawdy zdumiewająca. Oto jakże charakterystyczny fragment ze wspomnień Kosskowej, dotyczący powrotu Tuwima z Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu: „W drodze powrotnej byliśmy świadkami wstrząsającego wydarzenia. Najpierw zobaczyliśmy łunę. Sofer zatrzymał samochód. Wysiedliśmy. Pałła się przydrożna chalupa i zabudowania. Zrozpaczeni ludzie biegali beznadziejnie tam i z powrotem. Kobieta od- pędzała od ognia płaczące dzieci, gromadziła uratowane mienie, znosiła w bezpieczne miejsce pościel. Sytuacja wyglądała beznadziejnie, do wsi, jak się orientowaliśmy, było daleko. Tak więc na oczach zrozpaczo- nych właścicieli i nas, przygodnych widzów, dopadła się biedna chudoba. Poeta stał na zoszte do głębi wstrząśnięty nieszczęściem tych ludzi. Wygarnął wszyst- ko, co miał w portfelu, wręczył ojcu rodziny i zapisał ich adres, obiecując pomoc z Warszawy. Rzeczywiście po powrocie do Warszawy wyjechał w władz zapomo- gę dla pogorzalców, a nieco później uczeszony dowie- dził się, że przydzielono im nawet konia i krowę”.

Julian Tuwim wystawił sobie pomnik tym, co napisał: swolmi wierszami, satyrą, znakomitymi przekładami. Ale ludzie mu bliżsi, jego przyjaciele i współpracownicy, wystawili mu w tej księdze wspomnień pomnik inny jeszcze: pomnik prawdziwego człowieka. Dobrych poetów jest wielu, ale dobrych poetów i dobrych ludzi bardzo mało.

Chwałę tej książce o świetnym poecie i wspaniałym człowieku.

str. 11

nie symboliczna jest jego działalność? Działalność, będąca pomostem między owym czasem, kiedy to Tomasz Main musiał uchodzić z Niemiec a czasem rozkwitu „ziomkostw” i rozbudowy Bundeswehry. Warto przeto pamiętać o Cyszarzu i warto pamiętać, gdzie swe „naukowe” prace teraz drukuje: artykuł o „siewach nienawiści, brudu i zamętu” ukazał się w ostatnim zesłonym numerze „Soldaten-Zeitung”.

PASJA MINISTRA OBRONY

A więc okazuje się, że praw dziwym powołaniem Herberta Cyszarza nie jest jednak literatura. Do czego innego został powołany, czym innym się para. Powiedzmy wprost: para się donosi- cielstwem. Wkroczyliśmy więc na tereny, które z literaturą nie mają, a przynajmniej nie powinny mieć, nic wspólnego. Przechylnym przeto, z myślą o Cyszarzu, artykuł Szczepana Ławniczaka, wydrukowany w „Polityce”, a zatytułowany „Pasja ministra obrony”.

„Cale swe wyposażenie mundurowe żołnierz armii terytorialnej przechowuje w domu. Broń i amunicja znajdują się w magazynach, przy których mieszczą się placce zbierek alarmowych. Uzbrojenie — to wielostrzałowe, nowoczesne karabiny ręczne oraz przeciwpancerne. Środki lokomocji w wyniku potrzeby mają być dostarczane z cywilnej lokomocji w razie konfliktu wojennego? Jej organizacja wewnętrzna jest pomyślana jako obrzybiała lezba małych ale niezwykle silnie uzbrojonych oddziałów zdolnych do błyskawicznych akcji na zapleczu swoich frontowych wojsk”.

Wypada również spytać: jaka rola przypada owej zachodniemieckiej armii terytorialnej w czasie pokoju? Czymże jest owa armia? Czyż nie jest próbą całkowitego już zmilitaryzowania życia na rodzie? Czyż nie jest próbą opanowania przez soldateskę tego, co dotąd spod władzy soldateski jeszcze się wymykało? A czemu służy działalność Cyszarza? Czyż nie temu samemu?

LIST BALZACA

Polecamy na koniec uważnie czytelnika wydrukowany w „Życiu Literackim” list Balzaca do p. Hańskiej, przetłumaczony przez Wandę Krągen. Bardzo to pouczająca lek- tura. Owo list, w nieliczne 15 maja 1843 roku, tuż przed wyjazdem Balzaca do Petersburga (gdzie znajdowała się wówczas p. Hańska) pisany. Balzac, ożywiony dla nas niegdyś przez Boya, znów ożywa przed naszymi oczyma, wielki i mały, paletyczny i śmieszny, zakochany w dalekiej Polce i zakochany w sobie.

„O wielki, święty Honorze! modlił się do swego imiennika Balzac — od piętnastu nie- miał lat pięćdziesiąt życia męczennika. Bóg zesłał mi anioła w roku 1833, oby ten anioł nie opuścił mnie aż do śmierci! Żyłem dotychczas przez pisanie, spraw, abym żył trochę przez miłość! Oplekuj się ra- dziez wszystko, nawet swoją czystkę nieba. Spraw przede wszystkim, abymy wkrótce byli szczęśliwi! Ave, Ewa!”

Alc nie ma zamiaru żyć inaczej, niż przez pisanie, tył ko owo pisanie obchodzi go naprawdę. Żyje tylko tym, co pisze. Warty jest tyle, ile warte jest to, co napisze.

„Wielkimi wydarzeniami mego życia są moje dzieła a nie mogę Pańi opowiadać o trudnościach, które muszę w związku z nimi przeżywać, ani o temacie, wówczas bowiem nie napisalbym ich. Czy Pańi wie, że jeśli chodzi o literaturę, nie potrafię pisać dziennie więcej niż piętnaście stron (trzy razy takich jak ja), że na to trzeba mi piętnastu godzin i że każda strona warta jest sześćdziesiąt franków? O!óż, gdybym pisał do pańi trzy strony dziennie, byłoby o trzy mniej tych, na które czekają drukarze i nie mógł bym wyjechać 15 czerwieca”.

Gdy znajdzie się przy p. Hańskiej będzie, jak wolno nam przypuszczać, marzył o jednej godzinie nad stroną, o godzinie za 60 franków.

Boiteau

EKSPORT MUZYCZNY

Dnia 19 stycznia koncerto- wala w sali Filharmonii Narodowej w Warszawie orkestra Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia pod dyrekcją Henryka Debicha. Koncert ten spełnił wszystkie warunki wielkiej imprezy: wybit- niemi solistami, transmisja radiowa, Irena Dzie- dzie i Lucjan Kydryński jako konferansjerzy, tłumy publicz- ności zajmującej nawet miej- sca stojące. I jak na wielką imprezę przystało, nie obyło się oczywiście bez potknięć i drobnych rozczarowań — te zawiądzęmy głównie solis- tom. Natomiast Orkiestra Łódzkiej Rozgłośni PR i jej dyrygent zebrał w Warsza- wie bardzo wiele komplementów. Komplementów — do- dajmy — w pełni zasłużonych.

Interesującym skonstruowany program obejmował zarówno utwory muzyki popularnej jak i taneczne, obejmując w do- datku różne style kompozy- torskie (od utworów De Fall- li do III Nurtowej kompozycji Lucjaka) pozwolił na wy- kazanie wielkiej biegłości technicznej orkiestry i jej za- dziwiającej wszechstronności. U progu jubileuszu piętnasto- lecia orkiestra Łódzkiej Roz- głośni Polskiego Radia jest zespołem 30-letnim o włas- nym, wypracowanym stylu i charakterze. Szkoda tylko, że w programie nie znalazło się trochę miejsca na ukazanie dorobku łódzkich twórców mających w dziedzinie muzy- ki rozrywkowej i piosenki spore osiągnięcia. Miejmy jednak nadzieję, że pianow- ni na koniec marca koncert łódzkiej piosenki wykonywa- nej przez łódzkich solistów i orkiestrę Debicha będzie do- brze wykorzystana okazją do zaprezentowania utworów na- szych kompozytorów i auto- rów.

Wydaje nam się, że ten jed- ny w tej chwili eksport muzyczny Łodzi zastępuje na gorące uznanie. Ma on jednak swoją złą stronę: wyjazd kilkudziesięcioosobowego ze- spolu pociąga za sobą spore koszty. Można by ich uniknąć urządzając podobne koncerty w Łodzi i organizując ich transmisję telewizyjną. Jak się orientujemy, istnieje moż- liwość transmitowania ich na- wet na interwizję. Popieramy i zachęcamy.

MAW



KIM JEST CYSARZ?

Herbert Cyszarz ma dziś lat sześćdziesiąt siedem. Wiemy kim jest. Jest wybitnym literaturoznawcą, znanym chyba nie tylko na terytorium języka niemieckiego. I znanym nie tylko, niestety, z działal- ności naukowej. Nazwisko i działalność Cyszarza przypo- mina w ostatnim numerze „Życia Literackiego”, w za- wsze interesującej rubryce „Co robią Niemcy”, WISZ: Herbert Cyszarz od roku 1928 miał katedrę w Pradze, póź- niej przeniósł się do Monachium i tam wykładał teorię i historię literatury. Przymo- nienie jest na czasie. Cyszarz nadal bowiem działa i to działa bardzo aktywnie. Nie- gdyś współpracował przy uk- ładaniu goebbelsowskiej listy dzieł literackich, które hit- lerowcy uznali za szkodliwe i niepożądane. Dziś listę swą cierpliwie uzupełnia i popra- wia.

„Siewcami nienawiści, brudu i zamętu są łacy — według Cyszarza — pisarze, jak Hein- rich Böll, Alfred Andersch i Wolf Dietrich Schurre. O- czywiście, lista ta niepomier- nie rozrasta się pod jego pió- rem. Znaleźli się na niej pra- wie wszyscy najwybitniejsi współczesni pisarze zachodnio- niemieccy, zwłaszcza współ- pracujący z Grupą 47. Litera- turoznawca Cyszarz bardzo so- bie ułatwia zadanie, gdy pra- wie określi duchową genealogię tych pisarzy: wyprowadza ich bowiem zarówno od Bau- delaire'a (wymienia „Kwiaty zła”), jak od Remarque'a”.

Czas się zmienił, Cyszarz się nie zmienił: jest nadal postacią-symbolem, bo czyż

Bestsellery

minionego tygodnia

FILM	
POLONIA „Gdzie jest general”	12 007 widzów
WISLA „Milioner bez grosza”	8 569 „
TEATR	
JARACZA „O krasnoludkach i sierotce Marysi” Konopnickiej (4 spektakle)	1 512 „
„Trzecia patetyczna” Pogodina (2 spektakle)	1 340 „
NOWY „Maria Stuart” Słowackiego (4 spektakle)	2 700 „
„Most” Szaniawskiego (2 spektakle)	900 „
POWSZECHNY „Jaśnie Pan Nikt” Lope de Vega (3 spektakle)	1 768 „
„Katak” (2 spektakle)	980 „
OPERA „Verbum nobile” Moniuszki (2 spektakle)	1 410 „
„Don Juan” Mozarta (1 spektakl)	200 „
OPERETKA „Zaczęło się w banku” Kawana (6 spektakli)	3 100 „
FILHARMONIA Koncert fortepianowy —	
Brahms, Chopin, Stojanow, (2 koncerty)	980 „



TYDZIEŃ W KINIE

Trwa Festiwal Festiwalu Filmowych. Jesteśmy już na półmetku tej imprezy, mamy za sobą filmy lepsze i cięższe, ale na ogół utrzymane w konwencjach już uznanych za nową, a przynajmniej nie szokującą widza. Najbardziej może nowoczesną formę zaprezentował film polski — ale przecież i temu daleko do skrajnej awangardy.

W drugiej połowie festiwalu więcej jest nowości formalnych. Przede wszystkim mam na myśli „Piękny maj” Christa Markera. Jest to pierwszy na naszych ekranach reprezentant kierunku zwanego „cinéma — vérité” — kino — prawda. Polega ona na rejestracji doborzonych wprawdzie, ale spontanicznie rozwijających się wydarzeń — materiał filmowany organizuje się raczej już w montażu. Po zwalniającym się na uzyskanie wrażenia bezpośrednio, autentyczności niemal telewizyjnej. Wszystko zależy od tego CO się pokazuje przy użyciu tej metody.

Po „Piękny maj” przez dwa dni króluje na ekranie „Lampart” — najnowszy, wielki film Luchino Viscontiego (przypominam — „Ziemia drży”, „Zmysły”, „Białe noce”, „Rocco i jego bracia”). Pod pozorami pięknego, barwnego obrazka kostiumowego Visconti demaskuje tezę iż „Wiele musi się zmienić, aby światko mogło pozostać po staremu”. Film jest świetnie zagrabany, między innymi przez Claude Cardinale, Burtę Lancastera i Alaina Delona. Posiada też niezaprzeczone wielkie walory widowiskowe, do czego wykorzystuje naturalne tło — piękno Sycylii, ulubionej krajiny Viscontiego i malowniczość kostiumu — rzecz dzieje się w połowie ubiegłego stulecia w środowisku wielkiej arystokracji — zarówno rodowej jak i finansowej.

„Kozare” znamy już. Ten jugosłowiański film był na naszych ekranach w ubiegłym roku, zanim jeszcze został nagrodzony Złotym Medalem na Festiwalu w Moskwie.

„Harakiri” jest przedstawicielem tak mało popularnej u nas kinematografii japońskiej. Jest to film z bardzo liczną rodziną filmów samurajskich — grają tu naturalnie wabliki jak kostium i barwa. Tym niemniej opowieść



W kawiarni młodzieżowej.

Halina i Walenty Karawajewowie

„KROKODYL” w ŁODZI

O wystawie rysunków satyrycznych radzieckiego „Krokodyl” ekspozycją w Łódzkiej Kawiarni Młodzieżowej pisaliśmy już gazety codzienne. Ponieważ doniesienia te ograniczały się z reguły do poin-

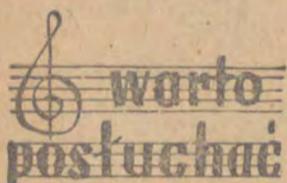
formowania czytelników, że Kraj Rad ma jeszcze 11 in-ekspozycja liczy ponad 200 nych pism satyrycznych. Na prace i że wszystkie są bar-wystawie prezentowane są dzo ładne — my podamy kil-prace 40 artystów od najslar-ka informacji może bezpo-średnio wystawy nie dotyczą-rodz. Michała Czeraycha, do-nych, ale na pewno istotnych. młodzieńczego 23-letniego A-tych 200 ekspozycyjnych. Tych 200 ekspozycyjnych. Wystawa odwiedziła już prace to zaledwie wycinek po-nad 40-letniego dorobku tego Warszawa i Katowice i wszę-znakomitego tygodnika „Kro-żdzie cieszyła się dużym po-odyl” ukazujący się w na-łodzeniem. W Łodzi nie zo-kladzie 2 milionów egzempla-stała najsześciwiej zlokali-ry nie jest zresztą w Związ-żowana, ale półki czas, radli-ku Radzieckim jedynakiem. my ją zobaczyć.

jest gorzka, kompromituje puste pojęcie honoru, robi to w sposób równie brutalny i bolesny, jak brutalna i bolesna jest operacja harakiri. Film dla ludzi o silnych nerwach — ale warto, obojętność. Znow dobry znajomy: „Godzina pasowej roży”, to bardzo miły film dla młodzieży, i wobec ogólnej posuchy w tej grupie filmów wysoko oceniony przez jury w Wenecji. Wprawdzie trudno porównywać te blaski z innymi, „dorosłymi” filmami Festiwalu, ale jeśli ktoś chce

odetchnąć — to właśnie na tym filmie.

I na zakończenie jedno z najjaśniejszych słów Festiwalu „Gdy przyjdzie kot” Wojciecha Jasnego. Pogodna, miejscami złośliwa odrobina bajka, wykorzystująca w do-wspójny i nowy sposób możli-wości techniczne współczesne go kina. Odrobina pogodnej i łozofil po dużej serii strachów — to bardzo dobrze ro-bi.

E. W.



W poniedziałek, 3 lutego br., w sali Państwowej Filharmonii wystąpi dyrygent klasy światowej Igor Markevitch, który poprowadzi nadzwyczajny koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry Filharmonii w Skopje (Jugosławia).

Wiadomość o tym rewelacyjnym koncercie zelektryzowała łódzkich melomanów i nie tylko melomanów. Tra-

gedia zburzonego miasta, które w sierpniu ubiegłego roku przeżyło trzęsienie ziemi wzniosła miliony ludzi na całym świecie. Filharmonicy skopijscy utracili również piękny gmach swej stałej siedziby i odbywają obecnie wielkie tournée artystyczne na wszystkich niemalże krajach Europy spotykając się wszędzie z entuzjastycznym przyjęciem. Jest to w tej chwili orkiestra na wysokim, europejskim poziomie, a o jej możliwościach świadczy samo już choćby zestawienie programu, zawierające najświetniejsze pozycje światowego repertuaru symfonicznego: „Puleinella” Strawińskiego, „Francesca da Rimini” Czajkowskiego, „Trójkątny kapelus” de Falli i V Symfonia Beethovena.

Ukończonym w roku 1919 baletem „Puleinella” zainicjował Igor Strawiński nowy gatunek swej twórczości: stylizacje, pastiche — przetwarzanie dawnej muzyki nową techniką, słynną „wędrowkę po stylach i epokach”. Znakomita „Puleinella” stanowi połączenie motywów Pergolesego z całym „piekiem współczesności” (Kisielewski).

Fantazja symfoniczna „Francesca da Rimini” op. 32 Piotra Czajkowskiego (1876) inspirowana została piątą pieśnią I części „Boskiej Komedii” Dantego. Jej dokładne streszczenie wpisał kompozytor do partytury jako program utworu. Nieszczęśliwa miłość Franceski do Paola i tragiczna śmierć z ręki zlenawidzonego męża Rimini stała się treścią niezwykle sug-

stycznej i emocjonalnej muzyki, w której nastroje szeregowe (wspomnienia szczęśliwych dni miłości) przeplatają się z obrazami dramatyzmu (sceny w piekło i tragiczna opowieść Franceski).

Suita z baletu „Trójkątny kapelus” Manuela de Falli (1919) jest jednym z najbardziej efektownych, popisowych numerów repertuarowych wszystkich dobrych orkiestr. Dobrych, bo główne walory tego kapitalnego utworu: kolor i wdzięk orkiestracji, nastroje dusznej i parnej południowej nocy, temperament i dynamika hiszpańskich tańców ludowych „wychodzą” tylko do-brym zespołem i dyrygentem.

Głównym punktem programu koncertu jest V Symfonia

e-moll op. 67 Ludwika van Beethovena (1805-1888). Wykonanie „Piętej” jest zawsze wielkim przeżyciem dla publiczności i wykonawców. Oddziałuje przede wszystkim dzięki niezwykle silnemu ładunkowi emocji, zachwyca żelazną konstrukcją, wysnutą w całości z kilku lapidarnych tematów. Pierwszy, złożony z czterech za-łedwie dźwięków — materiał allegro i części miał według Schindlera powołującego się na samego Beethovena ozna-zać „pukanie do drzwi”. Stąd późniejsza nazwa „Symfonia przeznaczenia”.

Wszystkim melomanom życzymy zdobycia biletu — koncert odbędzie się tylko jeden raz.

G. Z.



TV

Bogactwo (choć nie różnorodność) programu telewizyjnego w nadchodzącym tygodniu jest naprawdę zdumiewające. Społeczności telewizyjnej grozi nawet zamiana w społeczeństwo ziewaczy. Nie chcę przez to powiedzieć, że program będzie nudny. Nie — tylko dzień po dniu ma się kończyć dopiero tuż przed północą, a że niektórym z nas zdarza się niekiedy wstawiać rano do pracy, więc skutek wiadomy.

Rzecz w tym, że rozpoczynają się właśnie Igrzyska Olimpijskie w Innsbrucku. Telewizja będzie znaczną ich

część transmitować. Układany program został zalecany podporządkowany godzinom transmisji z Innsbrucka. W tym roku zamiast planzsy „Łączymy się z...” albo obrazków z serii „Piękna nasza Polska cała” postanowiono nadawać program do oglądania. Stąd na przykład w poniedziałek, 3 lutego, będziemy mieli Teatr TV, który zaprezentuje „K w a t e r y” Janusza Krasńskiego w reżyserii Jerzego Krassowskiego (z udziałem m. in. Henryka Baka i Ignacego Gogolewskiego — i film fabularny (rumuński, od 16 lat, „Skradziono bombę”), rzecz praktykowaną dotąd tylko w wielkie narodowe święta, jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc.

W dniu, w którym weźmiemy do ręki ten numer „Odgłosów”, 30 stycznia, program telewizyjny będzie trwał od godz. 11 w południe prawie do północy. Zamiłowa-

nie do sportu pozwoliło nam, jak widać, na luksus całodziennego programu, ba nawet programu przynoszącego sensację. Sensację i kryminał, tj. „Cień podejrzania” w niezrównanym teatrze „Kobra”, reżyserowany przez Bohdana Trukana, z Janem Świderskim i Edwardem Włochurą (w tym tygodniu w ob-sadzie prawie wszystkich zapowiadanych spektakli panno-wy wydała się bardziej inter-resujący niż pan’o). W zamier-ślętych czasach mego dzieciństwa był na ekranach naszych kin, dla dzieci niestety nie-dozwolony, film amerykański „W cieniu podejrzania”. Po-dejrzewam, że istnieje jakies powinowactwo między tym filmem a czwartkową „Kobra”. Złudzenie, że telewizja wypłynęła na szerokie wody światłości, będzie więc nie-omal zupełnie; i program ca-łodzienny, a w programie tym dreszczyk (wyprobowa-ny).

W razie dreszczyku (lub real-niej mrozu), jakże mile za-powiadają się nasze telewizyj-ne wieczory w tym tygodniu.

Polskość ratować będą dwa programy folklorystyczne, o-ba przewidziane na ten sam dzień, tj. na niedzielę, 2 lu-tego. Nie powiem jednak, że telewizja, jak łódzkimi tram-wajami, rzadzi instynktu sład-ny... Powiem po prostu, że to-będą za programy. A więc o-god. 13.30 Katowice nadadzą-widowisko muzyczne pl. „Is-t-e-bniana” skubaczki”, niedługo zaś potem, o-god. 15.50 w telewizji łódzkiej Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Łowickiej wy-słapi z „Rożdżoną wyci-nanką”.

W poniedziałek, 3 lutego, Poznań podbuduje całą łę-sprawę naukowo programem „Muzyka ludowa i jej rola w-życiu społecznym” (godz. 11.55. Błagam dorosłych, że-by jeśli tylko uda im się zia-

pać wolną chwilę, oglądali-ranne programy szkolne dla-dzieci. To naprawdę są pozy-je wartościowe).

Na koniec rodzynek oma-wianego programu, „Ona i-my” czyli piosenki Józefa Prukowskiego, powiązane-tekstem Sł. Jerzego Lera, medrea i misirza „Myśli nie-urzesanych”. Reżyseruje o-ściec „Wielokropka”. Wilold-Filter. Wystąpią Irena Eichle-rodna i panowie Czechowicz, Filter, Gogolewski, Kowalski, Kobuszewski, Michnikowski, Nowak i Pawlik (2 lutego).

J. M.

1873 -1964

W ubiegłym tygodniu ukazał się trzeci numer „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”. Pierwszy numer „Gazety” wyszedł 1 maja 1958 r. W artykule wstępnym redakcja pisała: „Rozpocznemy kontynuację starych tradycji wydawniczych Piotrkowa borykając się z wieloma trudnościami, z których największą jest chyba brak odpowiedniej drukarni w naszym mieście”. Stąd „konieczność drukowania „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” w Łodzi w tamtejszych przeciążonych już i tak Zakładach Graficznych”.

„Gazeta” w dalszym ciągu drukuje się w łódzkich przeciążonych Zakładach. Trzeba przypomnieć, że Piotrków ma interesujące tradycje wydawnicze. Najstarszym piśmie Piotrkowa był „Tydzień” (który ukazał się przed narodzinami dwu pierwszych pism łódzkich) wychodzący w latach 1873-1906. Pierwszym redaktorem „Tygodnia” był Antoni Porębski, następnie pismo redagował poeta i publicysta Mirosław Dobrzański, wychowanek piotrkowskiego gimnazjum i Szkoły Głównej w Warszawie. W „Tygodniu” zamieszczali swe prace m. in.: M. Konopnicka, A. Asnyk, W. Gomułka, W. Bukowiński, E. Orzeszkowa, M. Dobrzański i następny po Dobrzańskim redaktor Faustyn Swiderski. Oto, co o „Tygodniu” pisa-no w „Gazecie Ziemi Piotrkowskiej”: „Można w nim (w „Tygodniu”) znaleźć wiele cennego materiału historycznego, który pozwala poznać dzieje nie tylko Piotrkowa, ale i jego okolic, a ponadto życie gospodarze i stosunki społeczne w dawnej guberni piotrkowskiej... Można w nim również spotkać interesujący materiał literacki. Z tych względów czasopismo może zainteresować nie tylko historyka, ale i historyka literatury, który znajdzie w nim utwory licznych poetów i prozaików nie tylko prowincjonalnych, ale i krajowych (często zapomniane i nie publikowane gdzie indziej)”.

Przeglądając roczniki „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”. Nie próbując podsumowywać dorobku pisma trzeba stwierdzić, że i „Gazeta” zawiera wiele cennego materiału odnoszącego się zarówno do przeszłości, jak i do współczesnego Piotrkowa. Interesujący np. był cykl wspomnień tow. Adama Dolinskiego, czy też cykl o getcie piotrkowskim, o mieszkających Piotrkowa w więzionych do Oświęcimia, prace mgr M. Karbowskiej („Piotrków wczoraj i przed-wczoraj”), A. Snieżki („Karika z dziejów piotrkowskiej poezji”), „Gazeta” drukowała wiele interesujących reportaży z życia robotników piotrkowskich zakładów przemysłowych („Hortensja”, „Kary”), można w niej również spotkać sylwetki zasłużonych piotrkowian. Lektura „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” dostarcza wielu argumentów przeciwko tym, którzy z lekceważeniem odnoszą się do prasy tzw. powiatowej. „Gazeta” użyła miejsca także sprawom Belchatowa i Radomska. Na łamach „Gazety” (i jej mutacji „Gazety Radomszczańskiej”) przysły kronikarz tych ziem znajdzie dużo interesujących zapisów nie odnotowanych gdzie indziej.

TADEUSZ PAPIER

Redakcja Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 55, Tel. 244-79
Wzrostki prenumerat: miesięcznik 21 zł kwartalnie 71 zł
Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca. — Prenumerata przesyłana w całości pocztową listonosz-otaz PUPPIK „Ruch” — z zamieszczeniem na „Odgłosy”
Druk: BSW „Prasa Łódzka” ul. Zwicki 17,
Zam 273. I. 4 F. 4